

POGODNYCH ŚWIĄT I UDANEGO SYLWESTRA

ŻYCZY REDAKCJA

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXI ● NR 52 ● 25 XII 1988 r.

CENA 50 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI



INDEKS-35923

PL ISSN-0017-1263

Pragniemy nagradzać utwory o głębokich treściach humanistycznych i etycznych, służące rozwojowi człowieka, kształtujące poczucie moralne i wrażliwość na innych. Na czele Jury — Wojciech Żukrowski (str. 3)

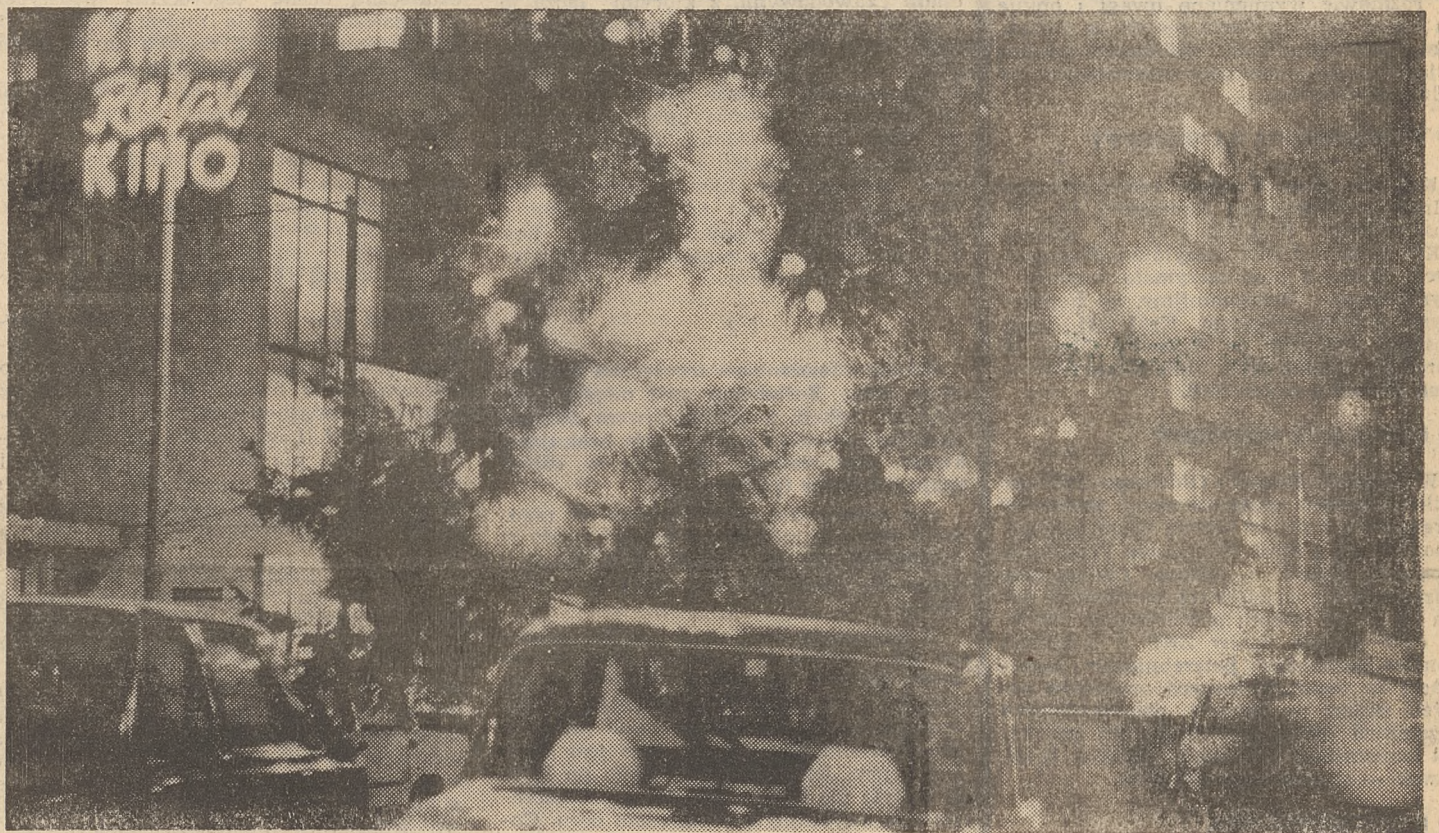
Być liderem dla siebie. Tekst, który może wywołać polemikę (str. 11)

Nauka pokory — czyli całe życie gwiazd: od supernowej do neutronowej (str. 4)

Oświatowe kłopoty to nie tylko nasza specjalność. Węgierscy nauczyciele także dobijają się o większy odpis z budżetu (str. 6)

Mądra głowa pod choinkę. Specjalne wydanie z nagrodami! (str. 14)

PONADTO: dyskusje, listy Czytelników, felietony i sprawozdania



Fot. Marek Suchecki

PORTRETY

JERZY
KRAŚNIEWSKI

Czytelnicy „Głosu” znają go od lat. Ba, czy znają? Dla większości jest po prostu uroczym gawędziarzem z ostatniej strony pisma. Nauczyciele i lektorzy jego felietonów — „Aby język...” już dawno odkryli w nim swego kolegę po fachu. Poloniści zazdroszczą mu po cichu erudycji i publicystycznej swady. Niektórzy zastanawiają się, jak wiem, jaki też jest on na lekcji wobec uczniów.

W Ostródzie młodzież kojarzy to nazwisko bezbłędnie. Nieco starsi pamiętają, że był dyrektorem tamtejszego liceum. Wiek km jest recepcjonistką z hotelu. Gdy pytam

w księgarni o ostatnią książkę JERZEGO KORKOZOWICZA — „Od Paska do Przybyszewskiej” — rozkładają ręce. To pytanie zadane w Bibliotece Pedagogicznej wyzwało jakby zażenowanie. Jedną z jego wychowanek tłumaczy, że nie zdołały kupić, a przecież nikt nie czyta tyle ile on...

I

Był świadkiem trudnej do zsumowania liczby wydarzeń. A pamięć ma doskonałą. Jest w stanie odtworzyć czytany przez rodziców artykuł Piłsudskiego — „Dno oka”. Pewnie dlatego, że lekturze towarzyszył szok z powodu nieparlamentarnego słownictwa Dziadka. Pamięta zamach majowy i proces brzeski.

Jako uczeń Gimnazjum im. Staszica w Warszawie z karabinem na ramieniu i ładownicami u pasa uczestniczył w defiladach na położonym nieopodal szkoły Polu Mokotowskim. Formacje PW, które skupiały młodzież gimnazjalną, kształciły w poczuciu wielkiej odpowiedzialności. Zdążył postudiować przez dwa lata polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i głęboko przeżywał to wszystko, co się wówczas w Polsce działo. W pamięci przyszłego nauczyciela ślady pozostawiły lata kryzysu, bezrobocia, nędzy, głodu widocznego na ulicach. A potem nadszedł czas poprawy, rozwój gospodarki

To, co zawdzięcza nauczycielom Gimnazjum im. Staszica, a także profesorom UW, okazało się niezwykle lepyszczem. U progu siedemdziesiątego roku życia, po tak wielu przeżyciach i doświadczeniach — nie jest w stanie przecenić tego wspaniałego bagażu, z którym wyekspediowano go w życie.

ZNAJOMY Z OSTATNIEJ STRONY

KRONIKA

(od poniedziałku
do niedzieli)

● PREZYDIUM ZG

Na posiedzeniu, 12 grudnia rozpatrywano była m. in.: informacja Ministerstwa Edukacji Narodowej o projekcie budżetu w zakresie oświaty na rok 1989, plan zagospodarowania scentralizowanego funduszu socjalnego w roku 1989, plan i budżet ZG ZNP na rok 1989. Uczestniczyli w posiedzeniu również przedstawiciele MEN na czele z dyr. generalnym — Marianem Sewerskim, przedstawicielka sektora oświaty KC PZPR — Barbara Pruszyńska, doradca premiera — Anna Foss.

Należy dodać, że omawiany projekt budżetu oświaty nie jest optymistyczny, uwzględnia bowiem raczej możliwości państwowej kasy, a nie faktyczne potrzeby w tym zakresie. Prezydium ZG zgłosiło więc swoje zastrzeżenia do omawianego projektu budżetu. Jak widać, historia się powtarza oczywiście nie na korzyść oświaty.

● WIZYTA SEKRETARZA STANU

14 grudnia nowo mianowany sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej — Zbigniew Wesołowski, złożył wizytę kierownictwu Zarządu Głównego ZNP. W rozmowie wymieniono uwagi i opinie na temat współdziałania resortu ze Związkiem oraz aktualnych problemów edukacyjnych i pracowniczych oczekujących na pilne rozwiązanie.

● WYRÓŻNIENIA ZA ODCZYTY

Krajowa Rada Postępu Pedagogicznego i Instytut Kształcenia Nauczycieli im. Wł. Spasowskiego zorganizowały 14 grudnia XXII Zjazd autorów odczytów pedagogicznych. Wielu z nich otrzymało nagrody i wyróżnienia. Przypomnijmy, że honorowym przewodniczącym Krajowej Rady Postępu jest prof. dr Wincenty Okoń. W obradach uczestniczyła Lidia Brzezińska — kier. wydziału w ZG ZNP.

● SPOTKANIE SENIORÓW

W siedzibie Zarządu Głównego ZNP gościli 14 grudnia działacze sekcji emerytów i rencistów z województwa Olsztyńskiego. Spotkali się z nim członkowie Prezydium Krajowej Sekcji z Aldoną Czubyńską. Rozmawiano o codziennych problemach życia tej grupy byłych pracowników oświaty oraz udziałzie ogniw ZNP w niesieniu pomocy najbardziej potrzebującym. Informację na temat wstępnych projektów założeń zmian w obecnie obowiązujących przepisach emerytalno-rentowych przekazał uczestnikom spotkania Wiesław Brzozowski — st. instruktor ZG ZNP.

● POSIEDZENIE GKR

17 grudnia odbyło się pod przewodnictwem Ryszarda Czajkowskiego posiedzenie Głównej Komisji Rewizyjnej ZNP. Rozpatrywane były m.in. wnioski z kontroli przeprowadzonych w „Logostourze” oraz projekt planu i budżetu ZG ZNP na rok 1989.

● SPOTKANIE W ŻERKOWIE

18 grudnia w Żerkowie (woj. kaliskie) spotkał się z aktywnym oświatowym młodzieży i opiekuną ZSMP poseł ziemi kaliskiej, prezes ZG ZNP — Kazimierz Piłat. Dyskutowano o problemach polityki oświatowej. Sporo miejsca zajęły także niełatwe sprawy dotyczące warunków pracy i życia.

UWAGA

DOM NAUCZYCIELA W REMONCIE

Dyrekcja Domu Nauczyciela ZNP w Warszawie ul. Wybrzeże Kościuszkowskie 31/33 informuje, że w okresie od 1 grudnia 1988 do 31 sierpnia 1989 prowadzony będzie remont kapitalny instalacji wodno-kanalizacyjnej.

W związku z tym liczba miejsc noclegowych ulegnie znacznemu zmniejszeniu (ograniczeniu).

Przepraszamy Koleżanki i Kolegów oraz Instancje ZNP, że nie będziemy mogli zaspokoić Waszych potrzeb w wyżej wymienionym okresie i prosimy o uwzględnienie powyższego w planach wyjazdowych do Warszawy.

2 GŁOS NAUCZYCIELSKI

Z OBRAD ZARZĄDU KRAJOWEJ SEKCJI PRACOWNIKÓW ADMINISTRACJI I OBSŁUGI

LUDZIE CZUJĄ SIĘ OSZUKANI

Dział swoje, baba swoje. Tak w lapidarny sposób określić można to, co działo się na środowym (14 grudnia), posiedzeniu Zarządu Krajowej Sekcji Pracowników Administracji i Obsługi ZNP, w którym wziął udział dr Stanisław Walicki z Departamentu Kadr i Spraw Socjalnych MEN.

O ile pierwszy punkt obrad, tj. plan pracy sekcji na rok 1989 przeszedł dość gładko, o tyle punkt drugi — tegoroczna waloryzacja plac pracowników nie będących nauczycielami wywołał zrozumiałe emocje. Ale o nim za chwilę. Nie wdając się w szczegóły — na te jest jeszcze czas — zaproponowano, by w planie na rok przyszły znalazło się przede wszystkim doprowadzenie do ostatecznego podpisania statusu pracowników nie będących nauczycielami. Na czwarty kwartał przewidziano ocenę wdrożenia podstawowych ustaleń tego zbiorowego układu pracy, o ile oczywiście zostanie wreszcie podpisany.

Sekcja Administracji i Obsługi zamierza również rozszerzyć współpracę z tymi sekcjami zawodowymi, z którymi łączą ją wspólne problemy. Do przyszłorocznego planu wpisano też zbadanie warunków pracy w wybranych oddziałach ZNP. Przyjrzenie się z bliska, jak w terenie realizowane są statutowe uprawnienia sekcji. Mija właśnie połowa kadencji władz Związku. We wszystkich oddziałach, okręgach dokonywane były podsumowania. Centralne odbyło się na poszerzonym o aktywny terenowy plenum ZG ZNP. Rok przyszły będzie więc czasem realizacji płynących stąd wniosków.

Obrady zdominowała tegoroczna waloryzacja plac. Zasadniczy spór między zarządem sekcji, a ministerstwem dotyczy sposobu i terminu wyrównania brakującej kwoty 1400 złotych, choć nie w całym kraju pieniędzy tych zabrakło.

Jak pamiętamy, przewidziane na regulację plac administracji i obsługi 14 900 zł miesięcznie średnio na jeden etat pomniejszono do 13 500 zł, czyli właśnie o owe 1400 zł.

Z pewnością nie jest to kwota ogromna, ale... Ludzie ci zarabiają bardzo niewiele, dla nich każdy dodatkowy grosz ma znaczenie, zwłaszcza przy obecnym tempie wzrostu cen. Po drugie — mają już dość lekceważenia. Dla nich sprawa jest jasna jak słońce. Jeśli przyjęto średnio po 14 900 zł, to tyle ma być, a całe dalsze tłumaczenie jest zwyczajnym mydleniem oczu. Coraz więcej osób myśli w ten właśnie nieskomplikowany sposób. Coraz trudniej docierają do nich argumenty resortu o tym, że na etapie planowania środków nie są znane precyzyjne dane ani co do liczby zatrudnionych, ani co do poziomu ich kwalifikacji, stażu, więc zasady finansowania muszą uwzględniać tę niepewność. Wielu rezygnuje po prostu z pracy w oświacie. Dla księgowych, kasjerek, woźnych, sprzątaczek sporo jest bardziej satysfakcjonujących finansowo ofert pracy. Jak długo pozostanie w oświacie będzie się równało narażeniu własnej rodziny na niedostatek? Rok temu również nie otrzymali tego, co im obiecano.

Sposób załatwienia tej sprawy wzbudził zdecydowany sprzeciw Związku. Tym bardziej że jeszcze w wrześniu Zarząd Główny ZNP otrzymał z MEN pisemne zapewnienie, iż „...środki finansowe na tegoroczną waloryzację plac, po ich ostate-

cznym rozdysponowaniu na poszczególne województwa pozwolą na realizację (w skali kraju) uzgodnionych wcześniej kwot przeciętnych podwyżek”.

23 listopada prezes Kazimierz Piłat poinformował pisemnie ministra prof. Jacka Fisiaka, że Związek nie może przyjąć do wiadomości wyjaśnień usprawiedliwiających niedobory pieniędzy, zwracając się jednocześnie o podjęcie stosownych działań dla pełnej realizacji przyjętych zobowiązań placowych i powiadomienie Związku o wyniku.

Póki co, jedynym rezultatem tego wystąpienia i wcześniejszych zabiegów kierownictwa krajowej sekcji z Krystyną Wachowicz na czele, jest niepewność i oczekiwanie, a właściwie coraz większa niewiara w rzetelne załatwienie tej przykłej sprawy.

Członkom zarządu krajowej sekcji nie bardzo trafiły do przekonania argumenty dr. Stanisława Walickiego, który po raz kolejny objaśniał mechanizm waloryzacji plac w oświacie. Stwierdził przy tym, że ostateczną ocenę tegorocznej podwyżki przeprowadzić będzie można dopiero po zakończeniu roku. Z danych za wrzesień i październik — oświadczył — oraz szacunkowych danych za listopad i grudzień wynika, iż w większości województw są jeszcze poważne środki finansowe na wynagrodzenia osobowe. Powołał się na pismo dyrektora Departamentu Kadr i Spraw Socjalnych Kazimierza Dery, skierowane 3 grudnia do wszystkich kuratorów, w którym zostali oni zobowiązani do pełnej i prawidłowej realizacji podwyżek wynagrodzeń.

Ostatni akapit bezpośrednio dotyczy pracowników administracji i obsługi: „W ramach posiadanej limitu i środków na to wynagrodzenie należy rozważyć również możliwości poprawy poziomu plac pracowników szkół i placówek oświatowo-wychowawczych nie będących nauczycielami poprzez stosowne zwiększenie funduszu premiowego poszczególnych jednostek (z ewentualnym wyrównaniem od września br.)”.

Otóż to, „należy rozważyć możliwość... zwiększenie funduszu premiowego...” Już samo to stwierdzenie może wywołać odruch protestu. O jakim tu „rozważaniu możliwości” w ogóle może być mowa, skoro miał to być obowiązek? No i z czego zwiększać nawet ten fundusz premiowy, choć ludzie woleliby, żeby podwyżka weszła w placę zasadniczą, jeśli wbrew temu co zaprezentował przedstawiciel ministerstwa, może się okazać, że w niektórych województwach pieniędzy jednak zabraknie. Co wtedy? Jedni dostaną, a inni obejdą się smakiem?

Te wątpliwości członkowie zarządu sekcji obrazowali przykładami ze swego terenu.

— Według mojego rozeznania — mówiła Wanda Sitek — w województwie katowickim fundusz plac został przekroczony i nie ma żadnych środków na podwyżki. Jest za to ogromna konkurencja na rynku pracy. Co ja po powrocie stąd powiem ludziom?

— Wydaje mi się — mówiła z kolei Kazimiera Stefaniak z Łodzi, że planując fundusze zapomniano o godzinach doradczych, a to są kwoty niebagatelne. Tylko u nas w jednej szkole ogólnokształcącej codziennie brakuje około siedmiu nauczycieli. Trzeba płacić za zastępstwa. Już dziś wiem, że ponadwymiarówki będziemy płacić z funduszu za 1989 r. U nas nie ma oszczędności, o których mówi przedstawiciel ministerstwa.

— Podobnie u nas, w Toruniu — kontynuowała myśl poprzedniczki Michałina Goliat — brakuje pieniędzy na zapłatę za godziny ponadwymiarowe nauczycielom. A to jest obowiązek, bo nam z administracji nikt za dodatkową pracę ani zastępstwa w ogóle nie płaci.

— A przecież obiecywano, że ci, którzy pracować będą w nadgodzinach przy okazji tych podwyżek, dostaną za to ekstra wynagrodzenie — przypomniała Zofia Olbińska z Katowic.

— Zarządzenie o rewaloryzacji przyszło w połowie września. Liczyliśmy wszystko na łapę capu. Jak w takim tempie może być wszystko prawidłowe — zastanawiała się Elżbieta Lipska z Kielc — u nas także nie ma skąd wziąć pieniędzy na te premie dla administracji i obsługi, o których się mówi w piśmie do kuratorów. Żadnych nadwyżek nie ma.

— Dla nas nie jest żadnym tłumaczeniem, że dopiero z końcem roku będzie wiadomo, ile jest pieniędzy i że wtedy coś się nam da — mówił Józef Mituta z Gorzowa Wlkp. — Istotny jest fakt, że już po raz drugi urwano nam część kwoty przeznaczonej dla naszego środowiska. I to tylko ma znaczenie.

★

Ludzie czują się oszukani... Czy na pewno słusznie? Według zapewnień przedstawicieli ministerstwa wszystkie środki finansowe mają być w maksymalnym stopniu wykorzystane, choćby w formie premii. Kwestia, która budzi niepokój jest sposób zagospodarowania tych pieniędzy przez ogólną terenową administrację oświatową. Oby zawsze w porozumieniu z właściwymi zarządami ZNP.

(HAD)

OPINIE

PRAWDY I PÓLPRAWDY

Jak zwykle z uwagą i zainteresowaniem przeczytałem „od deski do deski” kolejny numer (z 27 XI 1988 r.) „Głosu Nauczycielskiego”, a w nim — bardzo ciekawy felieton — redaktora naczelnego — pt. „Prawda i fałsz”.

W tym samym mniej więcej czasie przebiegały również i moje lata szkolne i studenckie, też przypadające na „trudną stalinowską epokę”. Oczywiście, wizerunki polityków II Rzeczypospolitej musiały być wówczas na lekcjach historii tak czarne, jak dzisiaj muszą być białe...

Można oczywiście nad tym faktem ówczesnego „zaciemniania faktów” ubolewać, można też cieszyć się z tego, że teraz likwiduje się owe „białe plamy”. Osobiście nie potępiałbym tak bardzo historyków z minionej epoki, bo oni musieli „stworzyć” taki właśnie obraz II Rzeczypospolitej, gdyż wymagała tego ówczesna racja stanu. Czy nie było jednak i wówczas ludzi odważnych? Pamiętam niektórych profesorów mających odwagę uczyć nas historii trochę innej niż w ówczesnych podręcznikach i programach szkolnych. Innymi, chyba najważniejszymi nauczycielami historii są zawsze bliscy: rodzice i krewni, ludzie starszego pokolenia. Tak więc historia zawsze kraży, niejako w dwóch obiegach — oficjalnym, podręcznikowym i nieoficjalnym, a bliższym rzeczywistości... Cieszy to, że dzisiaj już można tak uroczyście obchodzić 70-lecie niepodległości, że wracają na łamy podręczników i pism nazwiska Józefa Piłsudskiego, Ignacego Mościckiego, Józefa Becka, Edwarda Rydza-Śmigłego i wielu innych wybitnych Polaków.

Czyż jednak nie ci sami historycy, „wybitni fachowcy, naukowcy” przedstawiają teraz już inaczej sylwetki tych ludzi, niż czynili to kilkadziesiąt lat temu?... Czy inaczej teraz przyłożyli „szkielko” do własnych przecieży oczu?... Odwaga zawsze jest bardzo tania w odniesieniu do lat — minionych. Może jednak należałoby zadać sobie i nieco odważniejsze teraz pytanie czy nie tworzymy i teraz „nowych białych plam”?... Czy zawsze mamy odwagę, a może — możliwości (cenzura!), aby móc krytycznie odnieść się do pewnych zjawisk z historii najnowszej?

Samokrytycznie można chyba odrzec, że „białe plamy” są, były i będą, aby pokoleń przyszłych historyków miały co „likwidować”, o coś się spierać, coś argumentować i z czymś polemizować. Ale czy nie rośnie nam teraz pokolenie, które powiedzmy za 50 lat też gdzieś napisze: uczyłem się historii w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a wtedy starano się mnie przekonać, że... I tu podadzą wiele przykładów.

Niechże więc ta „nauczycielka życia” przekona nas samych i młodzież, która uczymy, że nie ma wartości na tyle trwałych, w sensie ich interpretowania, aby nie były już niepodważalne. A to już będzie dużo. Nie ukrywajmy teraz niepotrzebnie prawd w naszym rozumieniu rzeczywistości... bo głoszenie półprawdy jest też fałszem!

WIESŁAW CZERMAK-NOWINA
Lidzbark Warm.

JAKIE PLACE
W RESORCIE EDUKACJI

WYDANIE SPECJALNE
LISTOPAD 1988
CENA 88 ZŁ

GŁOS
NAUCZYCIELSKI

TABELA UPOSAŻEŃ:

- PROFESORA = DOCENTA
- ADIUNKTA = ASYSTENTA
- NAUCZYCIELA = INŻYNIERA
- INSTRUKTORA = KIEROWCY
- REFERENTA = WOŹNEGO

POD CHOINKĘ OD NAS!

Już jest do nabycia
w kioskach „Ruchu” i tak
oto wygląda, nasze

WYDANIE SPECJALNE!

Zyczymy ciekawych i konstruktywnych refleksji nad lekturą.

Za spóźnienie — nie przez nas zawiniłone — jeszcze raz przepraszamy.

Będziemy nagradzać utwory o głębokich treściach humanistycznych i etycznych, służące rozwojowi człowieka, kształtujące poczucie moralne i wrażliwość na innych.

NAGRODA LITERACKA

"GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO"

"Głos Nauczycielski" od dawna interesuje się żywo twórczością literacką pedagogów, czego najlepszym wyrazem jest „Literacki Głos Nauczycielski” ukazujący się na naszych łamach od ponad 20 lat. Pragnąc jeszcze aktywniej uczestniczyć w animowaniu i promowaniu ruchu twórczego w środowisku nauczycieli, a także szerszej popularyzacji najciekawszych, najbardziej wartościowych dla współczesnego odbiorcy utworów autorstwa pedagogów — ustanawiamy Nagrodę Literacką „Głosu Nauczycielskiego”.

Będzie to nagroda przyznawana za wyróżniające się oryginalnością, walorami artystycznymi i treściową zawartością, książki. Pragniemy nagradzać utwory o głębokich treściach humanistycznych i etycznych, służące rozwojowi człowieka, kształtujące poczucie moralne i wrażliwość na innych.

Nagroda będzie przyznawana w dwu kategoriach:

- w dziedzinie prozy,
- w dziedzinie poezji.

Nagradzane będą opublikowane (w danym czasie) książki i tomiki autorstwa nauczycieli, jak również wszystkich innych pracowników oświaty, nauki i wychowania.

Nagroda będzie przyznawana co dwa lata i wręczana przez redaktora naczelnego

„Głosu” w Dniu Edukacji Narodowej. Po raz pierwszy zostanie przyznana w 1989 roku, za utwory, które ukazały się w druku w latach 1987—1988.

Książki i tomiki kandydujące do nagrody mogą nadsyłać:

- wydawnictwa,
- Literackie Kluby Nauczycielskie,
- wszystkie ogniwa i instancje ZNP,
- autorzy.

Jury nagrody przewodniczyć będzie prezes Związku Literatów Polskich — Wojciech Zukrowski.

Pełny, imienny skład Jury podany zostanie w terminie późniejszym. W jego składzie znajdują się krytycy literacy, przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego i naszej redakcji.

Wysokość nagrody — zarówno w dziedzinie prozy jak i poezji — po 100 tysięcy złotych.

O podziale tej sumy zadecyduje Jury.

Książki i tomiki kandydujące do nagrody w roku przyszłym (a więc te, które ukazały się w druku w latach 1987—1988) prosimy nadsyłać — wraz z uzasadnieniem — do 31 maja 1989 roku pod adresem: Redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, 00-389 Warszawa, ul. Spasowskiego 6/8 — z dopiskiem: Nagroda Literacka.

W liście Czytelnika znajduję pytanie: „Jakie wydarzenia mijającego roku były dla nas — Polaków — szczególnie ważne, które spośród nich wywołały najwięcej dyskusji i emocji?”

ROK ZA NAMI

Zastanawiam się: czy można na tak postawione pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Trudna sprawa — bo przecież każdy z nas inaczej ocenia wydarzenia, których jesteśmy świadkami i w których często sami uczestniczymy lub uczestniczyliśmy. Poza tym, co dla jednych ważne, dla innych mniej istotne. Nie zawsze z dużej chmury duży deszcz: i odwrotnie — mała chmurka wywołać może w sprzyjających okolicznościach prawdziwą ulewę, połączoną z błyskawicami i gradobiciem... Czy więc odłożyć pytanie ad acta, wyszperać w sporej teczce korespondencji czytelnicych inne fragmenty do ewentualnej refleksji? A może spróbować uszeregować niektóre wydarzenia mijającego roku według własnych kryteriów?

Dla mnie wydarzeniem numer jeden mijającego roku była zmiana rządu dokonana po raz pierwszy w naszych dziejach pod presją i na żądanie związków zawodowych, które postawiły zdecydowane weto wobec polityki gospodarczo-społecznej i cenowo-dochodowej gabinetu premiera Zbigniewa Messnera. Argumentacja OPZZ poparta stanowiskami związków branżowych i ogólnopolskich federacji znalazła zdecydowane poparcie posłów. Rząd upadł, powołany został nowy gabinet z premierem Mieczysławem Rakowskim.

Były premier odchodząc, powiedział: „rząd upadł, problemy pozostały”. Rzeczywiście, wszystkie nasze trudne problemy gospodarcze, społeczne i polityczne pozostały. Trzeba jednak przyznać, że nowy premier i nowi ministrowie obrali śmiały kurs na przezwycięzenie trudności i niedomagań. Zaczęto od likwidacji przestarzałych, hamujących inicjatywę i przedsiębiorczość ustaw, zarządzeń i wytycznych, zrywa się ze sztywnymi, doktrynalnymi pojęciami i zasadami. Okazuje się, że i w socjalizmie może z powodzeniem funkcjonować wolny rynek, że mogą powstawać na szeroka skalę prywatne firmy, przedsiębiorstwa i spółki mieszane. Rzecz w tym, aby dostarczały na rynek towar przedniej jakości. Zrównano sektory: państwowy, spółdzielczy i prywatny. Nie ma podziałów na lepszych i gorszych, nie ma dotacji dla niezaradnych, nie rokujących nadziei na przyszłość, produkujących mało i źle. Przywraca się na masową skalę pojęcie zysku i to w dobrym, pozytywnym sensie tego słowa. Państwo nie musi dotować przestarzałej huty, kombinatu, stoczni. Toż te bilony i miliardy z kiesy pań-

stowej można przeznaczać na inne działy gospodarki, bardziej przyszłościowe, jak również na dofinansowanie oświaty, kultury i nauki.

Oczywiście, tego typu decyzje wywołują kontrowersje i protesty, przede wszystkim ze strony załóg pracowniczych likwidowanych przedsiębiorstw czy fabryk. Ale jeśli ludzie będą mogli uzyskać równe bądź lepsze zarobki w dobrym, sąsiednim przedsiębiorstwie, gdy stworzy im się możliwości przekwalifikowania, wtedy się ułoży, nastąpi zrozumienie racji ekonomicznych.

I pytanie: czy nowemu rządowi uda się te wszystkie nasze bolączki i niedoróbki zlikwidować, by wyprowadzić wreszcie go-

spodarkę na prostą drogę rozwoju. Na to pytanie odpowiedzieć nie potrafię. Wiem jednak, że nasz szybszy marsz zależeć będzie i od akceptacji decyzji rządowych przez większość pracujących. Żeby jednak mieć za sobą poparcie milionów ludzi pracy trzeba się traktować poważnie i uczciwie, chociażby w sprawach konsultacji. Jeśli tych konsultacji nie będzie, lub jeśli przeprowadzone zostaną zbyt szybko i formalnie, wtedy wzrastać będzie napięcie na linii rząd-związki zawodowe. Powiedziানে to zostało z całą mocą w czasie III Zgromadzenia OPZZ w Łodzi. Padło tam zresztą konkretne pytanie: „Czy związki zawodowe będą popierać działania nowego rządu?” Odpowiedź brzmiała: „Tak będą, ale tylko wtedy i tylko te, które trafią będą w oczekiwania społeczne”. Z tej odpowiedzi wnioski musi wyciągnąć rząd i wszyscy jego ministrowie.

Wydarzeniem godnym odnotowania w tym mijającym roku jest wzrost znaczenia i roli związków zawodowych w życiu kraju. To one wzięły na siebie główny ciężar walki o utrzymanie stopy życiowej milionów pracujących, w sposób zdecydowany i bezkompromisowy domagają się wprowadzenia do praktyki życia gospodarczego, społecznego i politycznego racjonalnych, zgodnych z logiką aktów prawnych jak i solidnej płacy za dobrą pra-

cę. Jest to w tej chwili podstawowy dla związków zawodowych problem. Nie będzie niepokojów, przerw w pracy i strajków, jeśli załogi opłacane będą sprawiedliwie. Dotyczy to wszystkich pracujących, w tym oczywiście również nauczycieli. Trzeba nam w sprawach płacowych decyzji odważnych, śmiałych, perspektywicznych. Nie można się godzić z tolerowaniem zarobków, które wystarczają na przysłowiowe wiązanie końca z końcem. Współczesny Polak nie może żyć z pożyczek i martwić się, czy z pensji starczy mu na spłacenie długów. Niskie płace to niska wydajność, to brak motywacji, to smutek, apatia i marazm. Oby z nowym rokiem w tym zakresie powiało optymizmem.

Ważnym wydarzeniem mijającego roku było telewizyjne spotkanie przewodniczącego OPZZ — Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą. Większość z nas, Polaków widziała w tym spotkaniu nadzieję na przyszłość, na spokój, na pomyslnie rozwiązanie wielu trudnych problemów politycznych i gospodarczych. I nie zawiedliśmy się, choć usłyszeliśmy opinie i poglądy często skrajnie się różniące. Dyskusja jednak dowiodła, że nawet najtrudniejsze problemy naszej polskiej rzeczywistości można przy dobrej woli rozwiązać, a barykadę nieufności cegła po cegle rozbierać.

A jeśli chodzi o nasze, oświatowe podwórko?... Cóż — nastąpiła kolejna zmiana na szczytach władzy. Nowy minister — nowe poglądy — nowe wiatry. Oby były ciepłe, sprzyjające twórczej działalności szkół i nauczycieli, zmiały nieżyłciewe, biurokratyczne przepisy i zarządzenia, sprzyjały szkolnej demokracji, służyły postępowi i nowatorstwu pedagogicznemu.

W poniedziałek, 19 grudnia zebrał się w Warszawie Zarząd Główny ZNP, aby podsumować swoją dwuletnią działalność i wytyczyć zadania na dalsze dwa lata. Będzie o czym mówić — tym bardziej, że wystąpił minister Jacek Fisiak. Do tego tematu wrócimy.

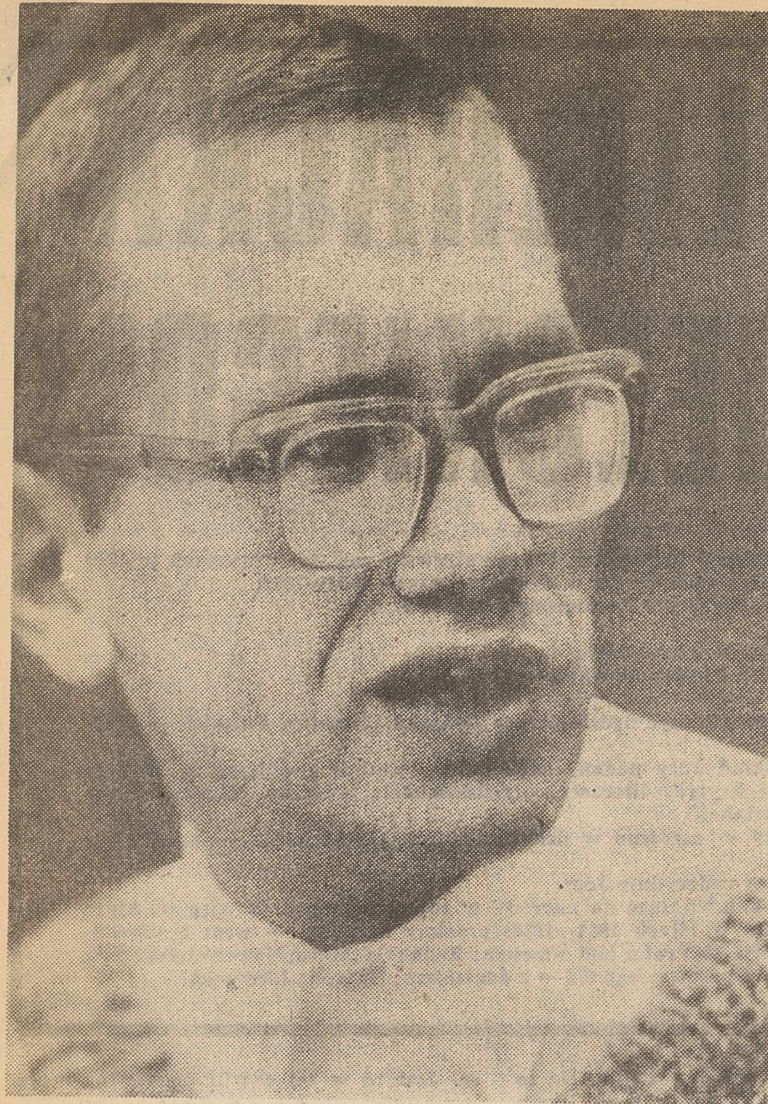
List nauczyciela cytowany przeze mnie na wstępie zawierał też i takie pytanie: „jaki będzie ten nowy 1989 rok dla Polski i oświaty?”

Cóż odpowiedzieć? Pesymiści są zdania, że będzie, oczywiście gorzej, optymiści znowu twierdzą, że musi być lepiej, bo już gorzej być nie może.

Należę do optymistów. I życzę tego optymizmu — Wam wszystkim Czytelnikom „Głosu Nauczycielskiego”. I czekamy na wydarzenia roku 1989. Może tych optymistycznych akcentów będzie więcej.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI





Gwiazdne próbki życia • Czy Wszechświat jest wieczny? • Kosmiczny żużel • Czy grozi nam czarna dziura?

NAUKA POKORY

W naszym świątecznym cyklu „Na Gwiazdkę — o gwiazdach” o tajemnicach Kosmosu, słonecznych dramatach i fascynacjach niebem, rozmawiamy z doc. dr. hab. JANUSZEM ZIOLKOWSKIM, astrofizykiem z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie.

— Na początku był...

— Wielki Wybuch czyli Big-Bang. A właściwie — bardzo mały, gesty i gorący jakby „balonik” materii, który wybuchł. Było to wydarzenie bardzo gwałtowne, prędkości uzyskiwane przez rozszerzający się Wszechświat były bardzo bliskie największej znanej dziś cząsteczkowej szybkości, to jest prędkości światła. O takim przepoczłku jesteśmy mocno przekonani. A działo się to kulkanaście miliardów lat temu.

Przekonanie to uzyskujemy między innymi z obliczenia czasu, jaki potrzebny był aby rozbiegające się galaktyki oddaliły się od siebie na odległość dziś mierzoną. A w to, że one wciąż jeszcze się rozbiegają — nikt nie wątpi. Ten proces trwa do dziś. Drugim potwierdzeniem teorii wybuchu jest odkrycie nie tak dawno, bo w latach sześćdziesiątych tak zwane promieniotwornicze, czyli mówiąc najkrócej — pozostałość po owym wybuchu.

— Tak się zaczęło, a czym się skończy?

— Istnieją dwie możliwości — albo owo rozszerzanie się Wszechświata będzie trwało wiecznie i wtedy on sam będzie wieczny albo też nastąpi z czasem jego zahamowanie i dojdzie do kolapsu, który oznaczać będzie koniec naszego Kosmosu. Przy czym w tej chwili nie możemy przewidzieć, która z tych możliwości zrealizuje się. To bowiem zależy od średniej gęstości materii we Wszechświecie. Jeśli jest ona większa od teoretycznie wyliczonej wartości krytycznej — wówczas przyszłością będzie kolaps kurczenie się i ewentualny następny Big-Bang rodzący całkiem nowy Kosmos. Jeśli gęstość jest poniżej owej granicy — wtedy rozszerzanie się Wszechświata trwać będzie w nieskończoność. Muszę przyznać, że obecnie średnia gęstość materii jest niepokojąco bliska tej krytycznej.

— Dlaczego niepokojąco? Dla kogo?

— Proszę się nie obawiać, nam hic nie grozi, nim ze Wszechświatem zacznie się coś dziać, jeśli w ogóle będzie się działo, upłynie jeszcze wiele miliardów lat. Niepokojący dla naukowca jest sam brak pewności. Dzisiejsza wiedza mówi nam, że jesteśmy blisko wartości krytycznej, ale wciąż nie wiemy — jak blisko. Gdybyśmy mogli powiedzieć, że gęstość materii jest kilka milionów razy mniejsza, wówczas byłibyśmy pewni, który scenariusz życia Wszechświata zrealizuje się.

— W poznaniu, odkrywaniu Kosmosu idziemy dziś tak milowymi krokami, że można by pomyśleć, iż osiągnięcia przodków, mimo że człowiek spogląda w niebo od zarania dziejów, były śmiesznie małe.

— Przeciwnie — na tamte czasy były ogromne. My sobie rzadko zdajemy sprawę, jakim wstrząsem dla umysłów schyłku średniowiecza była teoria Kopernikańska! Umieszczenie Ziemi na właściwym miejscu w układzie słonecznym było prze-

łomem w pojmowaniu Kosmosu, kamieniem milowym w astronomii. A takich kamieni było więcej. Następny, to poznanie skali, rozmiarów i odległości we Wszechświecie. Pierwsze dokonywane w ubiegłym wieku pomiary odległości od gwiazd dały wyniki dla współczesnych wręcz szokujące. To było „dalej” niż sobie wyobrażano. Wyliczeniem astronomów nie dawano z początku wiary. Ale jeszcze bardziej dramatyczne powiększenie Kosmosu dokonano się w latach dwudziestych naszego stulecia. A stało się to za sprawą odkrycia, że niektóre mgławice, które dotąd uznawane były za składnik naszej Drogi Mlecznej, to obiekty leżące daleko poza nią. Co więcej — okazało się, że uciekają one od nas i to tym szybciej im są bardziej odległe. To było przełomowe dla kosmologii odkrycie, przełomowe dla wyobrażeń o Wszechświecie jako całości.

Dla przeciętnego człowieka było to fascynujące ale i szokujące zarazem. Zresztą, czy i dla nas nie jest to niewiarygodne? Czy potrafi pan wyobrazić sobie odległość rzędu kilkunastu miliardów lat świetlnych? Przypomnę, że rok świetlny, to odległość, jaką w ciągu 365 dni pokonuje światło poruszając z szybkością prawie 300 tys. kilometrów na sekundę. A w takich odległościach od Ziemi leżą te najdalsze galaktyki, które my dziś obserwujemy. Dla przeciwwagi tym krańcom Wszechświata podam inną liczbę — 4 lata świetlne. To droga, jaką dzieli nas od najbliższych nam gwiazd.

— No cóż, zwracam honor pokoleniom astronomów. Wróćmy do naszych czasów. Które z odkryć ostatnich dziesięcioleci szczególnie przyspieszyły nasze poznanie Kosmosu?

— Najbardziej wartościowe okazały się możliwości obserwacji w nowych dziedzinach widma. Wraz z postępem techniki

otrzymaliśmy wielkie możliwości obserwacji radiowych. Bardzo cenne okazały się odkrycia, umożliwiające spojrzenie w Kosmos dzięki wykorzystaniu promieniowania rentgenowskiego. A było to możliwe dzięki umieszczeniu w przestrzeni okołoziemskiej sztucznych satelitów.

— Co zatem nowego dostrzegli astronomowie?

— Bardzo wiele niezmiernie interesujących obiektów, których istnienie dotąd przewidywano jedynie teoretycznie. W ten sposób można było wreszcie zobaczyć całe życie gwiazd — od ich świetności aż po śmierć w postaci czarnej dziury. Już przed II wojną przypuszczano, że efektem wybuchu supernowej może być powstanie gwiazdy neutronowej, a więc obiektu o masie słonecznej, ale rozmiarów zaledwie kilometrów. Problem w tym, że nie można było jej zobaczyć. Pierwsze gwiazdy neutronowe odkryto dzięki falom radiowym — jako pulsary. Pierwsze spekulacje na ich temat zelektryzowały cały świat — sądzono bowiem wówczas, że to może jakaś odległa cywilizacja w ten sposób daje nam znać o sobie. Potem pojawiły się następne i trzeba było porzucić tę nęcącą myśl o międzygwiazdnych kontaktach.

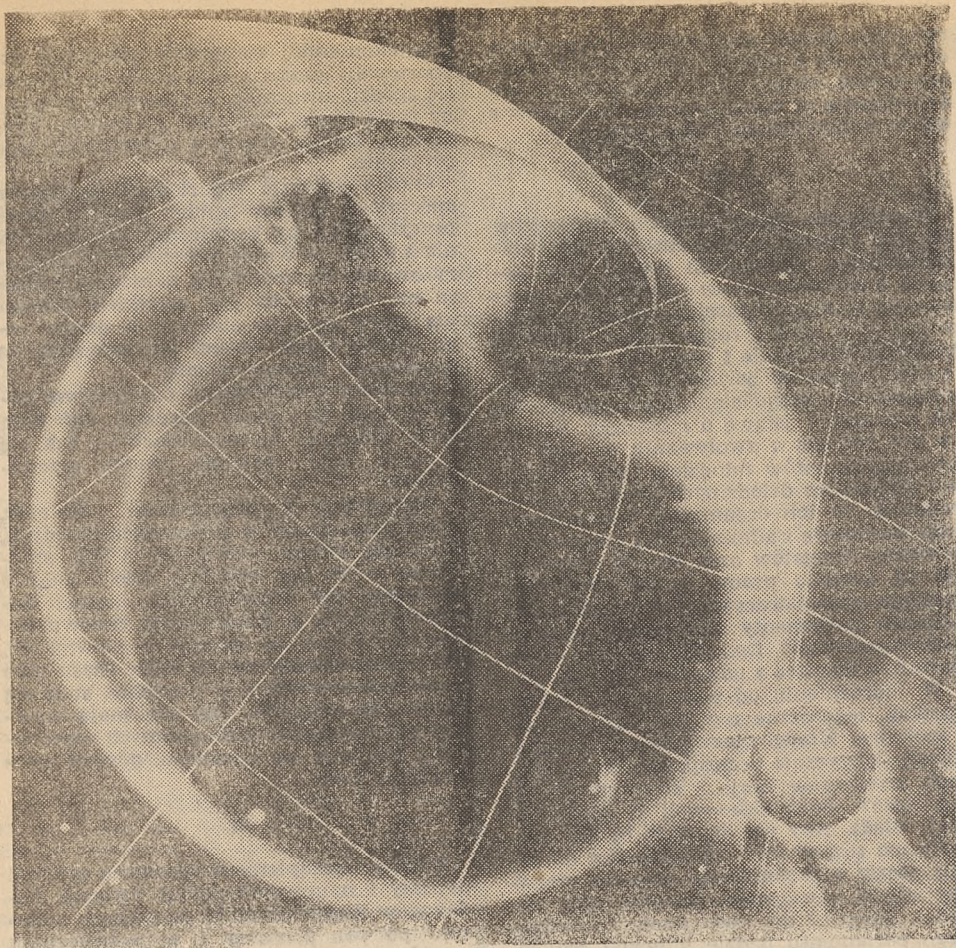
— Czym jest gwiazda neutronowa, czemu ona służy?

— Jest to pozostałość po bardzo starej gwiazdzie, która swą ewolucję zakończyła wybuchem supernowej. W tym momencie zegar nastawiamy na zero i od początku liczymy dalszy czas jej życia. Najmłodszą gwiazdą neutronową obserwujemy obecnie w mgławicy Krab która jest pozostałością po supernowej która wybuchła w roku 1054. Na pytanie — po co ona jest, czemu służy, odpowiedź może być tylko jedna — niczemu. Jest to po prostu swe-god rodzaju odpadek. Jeśli Słońce, gwiazdy

młode, w pełni swojego rozwoju są głównym czynnikiem przemiany materii we Wszechświecie, odgrywają rolę swego rodzaju retorty życia, „dostarczają” wszystkich niezbędnych ku temu pierwiastków — to gwiazda neutronowa nie tworzy już niczego. Fascynujący jest natomiast sam fakt jej istnienia i szybkości uzyskiwanej przez nią rotacji, wielkości grawitacji i jak wytworzą. Jeśli na przykład, aby odebrać się od Ziemi, trzeba nadać ciału szybkość 11 km/sek, od Słońca — 600 km/sek, to w przypadku tego obiektu owa tak zwana prędkość ucieczki wynosi już do 100 tys. km/sek!

— Jednakże to nie koniec ewolucji gwiazdy?

— W niektórych przypadkach w rezultacie wybuchu supernowej powstaje nie gwiazda neutronowa lecz tak zwana czarna dziura. Poruszamy się tu w pewnym ciągu obiektów, które są coraz gęstsze, z których coraz trudniej uciec. A więc: normalne słońce — potem biały karzeł — dalej gwiazda neutronowa — wreszcie czarna dziura. Tak przebiega życie gwiazd w Kosmosie. Najbliższe gwiazdy kończą swój byt jako białe karły. Charakterystyczną one tym, że mają masę słońca ale rozmiar planety średniej wielkości, takiej jak nasza Ziemia. Biały karzeł będzie już tylko stygł. To po prostu taki kosmiczny żużel. Przejście do tego stanu odbywa się bez wtrząsów, niejako — spokojnie. Gwiazda neutronowa powstaje natomiast w sposób wręcz dramatyczny — z reguły poprzez wybuch supernowej. Ten obiekt ma masę słońca lecz średnicę 10–20 km, a więc jest wielkości naszego miasta. Jeśli ścisnąć go jeszcze bardziej, to w pewnych warunkach owo kurczenie się już ustąpić nie może. Wielkość wytwarzanej grawitacji staje się tak ogromna, że żadna informacja z tej pulapki już się nie wydostanie. Także światło nie jest w stanie wyrwać



się stamtąd. Dla zewnętrznego obserwatora jest to obiekt absolutnie czarny, niewidzialny. Tak rodzi się czarna dziura. Co ewentualnie dzieje się dalej — tego dziś powiedzieć nie możemy.

— Jak bardzo zmieniły „mapę nieba” te nowe obserwacje?

— Wręcz ogromnie. Okazało się, że pojawiały się nowe obiekty bardzo małe, całkiem inne od obserwowanych jedynie optycznie. Można powiedzieć, że wreszcie ujrzeliśmy całość w pełni jej różnorodności. To było fascynujące.

— Przeciętnego człowieka wszystko to może jednak nieźle przestraszyć. Supernowe, białe karły, czarne dziury. A jeśli znajdziemy się koło tej ostatniej zbyt blisko... Wszak Ziemia wraz z całym układem słonecznym włączy wewnątrz.

— Jako astronom nie podzielam takich obaw. Kosmos nie jest dla nas taki groźny. Wszystkie dramatyczne katastrofy, które obserwujemy we Wszechświecie są mało prawdopodobnym źródłem zagrożenia dla nas, co wynika między innymi z tego, że jest on prawie pusty. Gwiazdy są tak rzadko rozłożone, że jest wręcz nieprawdopodobnym, by koło nas przeleciała inna, która mogłaby zderzyć się z Ziemią czy naszym Słońcem. A jeśli idzie o ruch naszego układu, odbywa się po orbicie wokół centrum galaktyki, nawet jeśli zmierzamy ku jej środkowi, gdzie skupienie materii i innych słońc jest znacznie większe, to i tak nie jest to źródłem zagrożenia. Mamy bowiem przed sobą całe miliardy lat.

— Samą Słońce nam nie zagaża, nie zmieni się w czarną dziurę?

— Jego los został przesądzony już w momencie jego tworzenia się. Jest ono zbyt małe, by wybuchło jako supernowa; ewolucja Słońca będzie dość spokojna. Naturalne zagrożenie będzie istniało, bowiem przy końcu swego istnienia będzie ono powiększać swe rozmiary i to znacznie. Wtedy w tym miejscu, w którym się znajdujemy — temperatura przekroczy 100°C. A koniec końców stanie się ono białym karłem. Nie będzie więc żadnych fałszywych alarmów. Takie co roku obserwujemy w innych galaktykach. W ubiegłym roku na przykład oglądaliśmy w Dużym Obłoku Magellana taką śmierć gwiazdy.

— A jeśli miała ona swój układ planetarny, swoją Ziemię?

— Malo to prawdopodobne. Ale jeśli układ taki istniał — zginął wraz z gwiazdą.

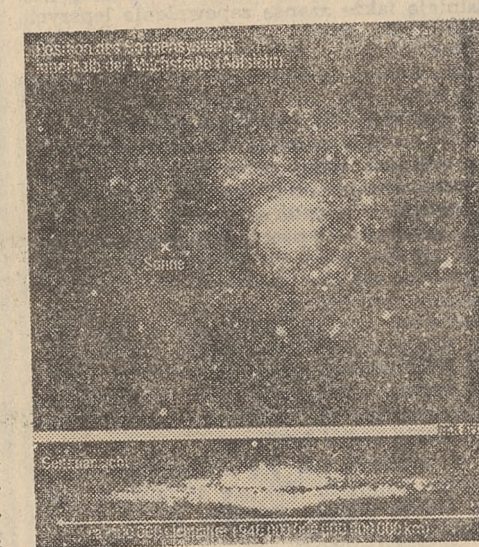
— Co w takiej sytuacji czuje astronom? Żal za braćmi?

— Głównie fascynację zjawiskiem. Bowiem my dziś bardzo pesymistycznie oceniamy szanse istnienia rozumnego życia we Wszechświecie. Nie ma żadnych faktów potwierdzających istnienie „załudnienia” Kosmosu. Powiedziałbym, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat nastąpiło dramatyczne cofnięcie się fali optymizmu co do możliwości istnienia fenomenu życia na innych obiektach. Nawet ci, którzy byli zwolennikami takiej tezy, obecnie wycofują się z tego poglądu. Ale na pocieszenie dodam, że choć nie ma dowodów na

istnienie rozumnych cywilizacji w Kosmosie, to nie ma także przyznających naukowych dowodów na ich niestnienie.

— A co z niezidentyfikowanymi obiektami latającymi? Czy wy — astronomowie, nigdy ich nie dostrzegliście?

— My obserwujemy obiekty całkiem zwyczajne, zjawiska dające się racjonalnie wyjaśnić. Mogę tylko podziwiać zdolność ludzi do dopatrywania się rzeczy, które chcą widzieć. Tak było na przykład ze styn-



nyrnymi kanałami marsjańskimi, które okazały się zwykłym złudzeniem optycznym, wynikającym z pewnych właściwości naszej atmosfery i cech ludzkiego oka.

— Myślę, że pewne niebezpieczeństwo jednak istnieje. Na przykład ze strony krążących w przestrzeni meteoroidów. W przeszłości ich zderzenia z Ziemią powodowały gigantyczne katastrofy, przebiegające w naszej planecie. Jeśli coś zdarzy się niedługo — może przytrafić się i obecnie...

— Powiedziałbym, że w bliskim czasie jest to mało prawdopodobne. Meteoroidy docierające do naszej planety z reguły spalają się w jej atmosferze, a na powierzchnię opadają jedynie okruchy. Takie wyda-



żenia są tak częste, że ich pozostałości można społdzać w każdym zakątku ziemi. Naturalnie były i dramatyczne spotkania z meteoroidami. W 1908 roku spadł na Ziemię słynny meteoroid tunguski, który zniszczył duże polacie syberyjskich lasów. Po przednie podobne zderzenie miało miejsce na obszarze dzisiejszej Arizony. Pozostał po nim krater o średnicy 1 km i głębokości 200 m. Ale to zdarzyło się około 20 tysięcy lat temu. Notabene legendy o tym wydarzeniu przetrwały do dziś w podańiach Indian północnoamerykańskich. Prawdopodobieństwo rychłego zderzenia się Ziemi z takimi dużymi obiektami jest tak niewielkie, że chyba i tego obawiać się nie powinniśmy.

— Niszczy Pan marzenia o lotach do gwiazd, spotkaniu kosmicznych braci. A przecież istnieją programy, prowadzone przez naukowców zresztą, polegające na „stuchaniu” Kosmosu pod kątem sygnałów świadczących o Inteligencji. Wysłaliśmy też w kosmicznych sondach informacje o nas i naszym położeniu. Zbędnie?

— Marzenia o gwiazdnych podróżach są piękne, ale trudno wyobrazić sobie ich realizację mając w pamięci ogrom Kosmosu. Proszę pana, dla nas nawet do planet naszego układu jest daleko, co dopiero mówić o obcych słońcach. Nawet gdyby ludzkość udało się osiągnąć szybkości bliskie prędkości światła, to i tak pokonywanie tych odległości trwałoby setki lat. A nawet gdyby się to udało — bo nikt dziś nie jest w stanie przewidzieć, jak ludzki organizm zniosłby taką podróż, to pojawia się pytanie — czy byłoby komu przekazać informacje? Jeśli bowiem na „naszym statku” upłynęłyby kilkadziesiąt lat, to na Ziemi już kilkadziesiąt tysięcy lat. Czy byłoby do kogo wracać? To jest pytanie już filozoficzne.

No, a dlaczego jednak wysyłamy informacje, słuchamy? Bo sama możliwość jest tak fascynująca, że pewien trud warto w to włożyć. Zresztą obie amerykańskie sondy i tak na Ziemię nie wrócą, więc... czemu nie?

— Co dziś najbardziej trapije astronomów, czego chcieliby się dowiedzieć przede wszystkim?

— Niewątpliwie najbardziej intrygującym pytaniem jest to, o przyszłość Wszechświata — czy będzie się nadal rozszerzał czy też nastąpi jego kurczenie się. To problem fundamentalny. Po wtóre — na pewno chcielibyśmy dowiedzieć się więcej o mechanizmach powstawania układów planetarnych. Ta dziedzina wymykała się naszemu poznaniu znacznie dłużej niż kosmologia. Ale oczywiście takich pytań jest znacznie więcej.

— A nie zastanawiacie się Państwo „w czym” to wszystko właściwie wybuchło, co było wokół tego pierwotnego „balonika materii”? Wszak to jest chyba szalenie intrygujące.

— Niestety, tu wyobraźnia ukształtowana naszym codziennym doświadczeniem całkowicie zawodzi. Potrafimy, co prawda, stworzyć matematyczny model takiego młodego Wszechświata, ale wyobrazić tego sobie — nie. Nikt bowiem nie obejmie umysłem, intuicją, trójwymiarowej przestrzeni, która sama w sobie zamyka się w czwartym wymiarze — czasie. Tu widzieliśmy również swoją wielkość jak i małość. Bo potrafimy doskonale teoretycznie coś opisać mimo iż niekiedy tego nie rozumiemy, nigdy sobie tego nie wyobrażamy.

— Bezkreśny Wszechświat daje człowiekowi lekcję pokory?

— Właśnie tak. Zresztą nie tylko w tym jednym przypadku.

Dziękuję za rozmowę
WOJCIECH SIERAKOWSKI
Fot. M. Suchecki i Archiwum

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

POWTÓRKA Z KORCZAKA

Jak poucza nas praktyka życia codziennego, raczej ma przewagę ten kto jest pod jakimś względem silniejszy. Tak owa zarówno w kontaktach obywatel — obywatel, jak też urządek — obywatel.

W związku z tym, że jeden z pierwszych moich szefów (inspektor szkolny M. Lisiecki) wpoił mi zasadę, iż przepisy należy interpretować na korzyść pracownika (oenta), skłóca mnie wewnętrznie stosowana powszechnie praktyka domagania się właśnie od penenta, aby udowodnił swoje prawo do czegoś tam podczas gdy urzędnik podrzuca mu pod nogi kolejne kontrargumenty wynikające najwyraźniej z niechęci do pozytywnego załatwienia sprawy.

Jeżeli z takim traktowaniem spotyka się niepełnoprawny obywatel to chyba nie należy się dziwić, że respektowanie praw obywateli niepełnoprawnych może zależeć już tylko od dobrej woli ludzi, którym owo niepełnoprawny podlega. A takimi niepełnoprawnymi obywatelami są dzieci i młodzież.

Pedagogiem, który prawa dziecka stawiał na pierwszym miejscu, był Janusz Korczak. Pamiętamy o tej pięknej i szlachetnej postaci, o jego działalności — bardziej niż o głoszonych przez niego poglądach. A tymczasem o dziwne są w nich zawarte niezwykle aktualne i w dzisiejszej dobie treści, np.: „Wprowadziliśmy umysłowej istniejącej registracji i pobór powszechne nauczanie, przymus pracy szkolny. Zwaliliśmy na barki dziecka trud uzgodnienia rozbieżnych interesów dwóch równoległych „terytoriów”.

Szkola żąda, rodzice niechętnie dają, konflikty między rodziną i szkołą obciążają dziecko. Rodzice solidaryzują się z nie zawsze sprawiedliwym oskarżeniem dziecka przez szkołę broniąc się przed narzucaną przez szkołę opieką (). Sytuacja tworzy rytm godzin dni i lat. Urzędnicy szkoły mają zaspokoić dziesięcie potrzeby młodych obywateli. Dziecko jest istotą rozumną, zna dobrze potrzeby, trudności i przeszkody swego życia. Nie despotycznie, narzucone rygory i nieufna kontrola, ale takowne porozumienie wiara w doświadczenie, współpraca i współzycie.

Dziecko nie jest głupie, głupców wśród nich nie widać niż wśród dorosłych. Przestrojeniu w purpurę lat, jakże często narzucają beznamiętne, bezkrytyczne, niewykonalne przepisy. Zdumione staje niekiedy rozumne dziecko wobec napastliwej urzędliwej głupoty” (J. Korczak: Prawo dziecka do szacunku. PZWS, Warszawa 1958 r.).

Trzeba pamiętać, że dziecko rozpoczynające naukę udaje się do szkoły z dużym bagażem zaufania do nauczyciela. Brzyź ten mógłby wystarczyć na wszystkie lata szkolnej edukacji, gdyby nie wyciekł np. wraz ze łzami dziecka traktowanego mechanicznie i bezdusznie. Zdarza się bowiem — bez względu na to, czy jest to szóstka o 30 uczniach czy szkoła-moła o 3000 — że dziecko czuje się w niej bardziej zagubione i samotne, niż Król Mędziej na bezludnej wyspie.

A pierwszym sygnałem ubywania dziecięcego zaufania do szkoły są zwierzenia: — Nasza pani jest niesprawiedliwa.

Przeleć trudno wszystkim dogodzić — może powiedzieć wychowawcy. Nikt jednak nie upiera się (poza ignorantami) przy tym, że zawód nauczycielski jest łatwy.

Szczególnie zaś trudne są problemy wychowawcze. Pedagogom i rodzicom, którzy koniecznością borykania się z różnymi codziennymi trudnościami rozpraszają siebie za brak cierpliwości, obiektywizmu, wyrozumiałości w stosunkach z dziećmi, dedykując zakończenie z cytowanej „zej pracy J. Korczaka:

„Beczność: życie współczesne kształtuje silny brutal, homo rapax, on dyktuje metody działania. Kłamstwem są jego ustępowstwa dla słabych, fałszem część dla starca, równouprawienie kobiety i żywcizność dla dziecka.

Błąka się bezdonna uczucie — kopciszek. A właśnie dzieci — książęta uczuć, poeci i myśliciele.

Szacunku, jeśli nie pokory, dla białego, jasnego, niepokalanego, świętego dzieciństwa”.

A jeżeli w duchu korczakowskich wskazań będziemy wychowywali młodzież w szkole i w domu — to może doczeka w się w przyszłości życiowego urzędnika za biurkiem...

STANISŁAW SYRYCKI
Sopot

ZNAJOMY Z OSTATNIEJ STRONY

Zapatrzył się na pasjonujące do dziś wzory intelektualne. Owczesna studencka młodzież nie doceniała w pełni obcowania z Tatarkiewiczem, Kotarbińskim czy Krzyżanowskim. Ale od tamtych chwil uważali, że każdy uczyony musi umieć tyle, ile oni i tak pięknie wykładają. To była norma zaszczerpiona na całą resztę życia.

Miał szczęście, bo także w gimnazjum trafił na ludzi wysokiej intelektualnej klasy. Tam nikt nie stawiał na baczność przed nauczycielem. Młodzież trzymała w karkach intelektualna dyscyplina. A rób, co chcesz, byłś miał wyniki.

Oceny przysły potem gay zaczynało się żyć w pełni na własny rachunek i porównywać spotykanych wokół ludzi z tymi, którzy w młodzieńczych latach wytyczali drogę myślenia. Te konfrontacje miały miejsce naderwycząc często zwłaszcza w szkole, gdzie po II wojnie spotykali się wielu nauczycieli, potrafiących zapewnić wysoki poziom nauczania, nie mówiąc o zawodowej etyce. Tam kapitał i możliwość porównywania pozwoliły długo zachować dystans i równowagę w ocenach.

Na pewno przedwojennych pedagogów ociołci czas. Wszak upłynęło od tamtych dni pięćdziesiąt lat. Ale naprawdę wyniosło ich porównywanie z innymi. Wśród doskonałych, jakże wymagających, znalazł się polonista, który potrafił zaczarować pokolenie Ciborowskich, Kozłowskich, Dębnickich, rówieśników Korkozowicza z tej szkoły. Od tego człowieka nie nauczyli się dubiania, encyklopedyzmu, lecz kultury humanistycznego myślenia, dyskusowania, umiejętności sięgania i samodzielnego wybierania książki literackiej.

W młodości ów pedagog nazywał się Mandelbaum, podobno działacz w trakcie rewolucji 1917 roku w Rosji. Po powrocie, gdy się przechrzcił, stał się w pamięci jako Stefan Bernard Drzewiecki. Zresztą także wioletni działacz ZNP w szkole wyróżniał się liberalizmem, uznawał poglądy uczniaków. Był przyjacielski, ale w wymaganiach — kategoryczny i nieustępliwy, jak wszyscy nauczyciele gimnazjum.

Liberalizm panujący u „Staszcia” pozwalał na różnorodny rozwój światopoglądowy we wszystkich kierunkach. W praktyce uczniowie upolityczniali się sami, bez udziału nauczycieli. Często brali się za by, a nauczyciele rozumieli o co ich wychowaniem chodził. Traktowali ich postawy z powagą, bez obawy o całość jakichkolwiek pryncypów. Nie brakowało w ich reakcjach pobłażania. Potrafił rozładować napięcie na przykład takim zdaniem: — W tym wieku ma się wrażenia, a nie przekonania.

Nie ma Pan Jerzy nadmiaru żużdu co do Polski międzywojennej, ale uważa, iż nie pomniejsza to jej najważniejszej zalety: że była! Wprawdzie setek rzeczy brakowało, ale w tym, co robiono, nie było na ogół lipy. Pracowano gruntownie, poważnie.

Pewnie ma rację Profesor, gdy uważa, iż praca wielu szkół w dwudziestoleciu była bardzo dobra, ale nie składała się to w sumie na wysoki poziom oświaty. Nauczyciele czekali pracowali w bardzo ciężkich warunkach, jednak swoje obowiązki traktowali z powagą, oddaniem, świadomością swojego wysokiego miejsca w społeczeństwie. Dzieki temu odwiedzano przez niego nawet najbardziej wyszkie szkółki w Nowogródzynie, gdzie dzieci chodziły na zajęcia bosko, spełniały swoją interogującą, wychowawczą rolę. Nie dało się oczywiście pokonać barier kulturowych i cywilizacyjnych, a także ekonomicznych. Za mało było lat, aby pozbyć się zaccania postawionej przez zaboborów.

W głęboką zadumę wprawia stwierdzenie doświadczonych człowieka: — Nie pamiętam ze swoich gimnazjalnych lat byle jakiego nauczyciela A na poparcie, że nie jest w tej ocenie odosobniony. cytuję leżne świadectwa z opublikowanych artykułów i wspomnień absolwentów „Staszcia”.

Stamtąd pan Jerzy powędrował do Szczytna, gdzie grupa entuzjastów próbowała odtworzyć stynne Liceum Krzemienieckie w postaci Liceum Warmińsko-Mazurskiego. Entuzjazm zabrał jednak wsparcia. Potem był znany przez lata orodek RTPD w Bartoszychach, gdzie rozpoczęła się trwająca trzydziści lat dyrektorska kariera niedosłego naukowca. Osiemnaście lat z tego spędził w placówkach kształcenia nauczycieli.

Można się przynajmniej do ideal, jakie legły u podstaw tworzenia liceów pedagogicznych, skoro prowadził się taką placówkę przez osiem lat. Pewnie nie bez żalu przyszło ją likwidować, gdy przyszła moda na dwuletnie SN i tu dyrektor Korkozowicz, niezłym kapitan statku był do końca. Jest to jeden spośród nielicznych już dziś reprezentantów starej kadry, której polska szkoła zawdzięcza okres dydaktycznej prosperity. Oni umieli nauczyć zawodu.

Dyrektor miał przez lata do czynienia z młodzieżą, która przychodziła ze środowisk, w których zupełnie nie były znane na przykład piętra. Jedną z absolwentek, dziś licząc się pedagog w Olsztynie, niedawno opowiedziała swą zaskakującą przgrydo w Bartoszychach. Były tam aż... dwa piętra. Do swej klasy trafiała tylko dlatego, że na jej piętrze wisiał duży zegar. Gdy zabrano go do naprawy — wpadła w panikę i nie znalazła swoich. Taką młodzież wychowywano w liceach pedagogicznych na nauczycieli z prawdziwego zdarzenia. Ale tam każdy wychowawca czuł się odpowiedzialny za wszystko. Była to odpowiedzialność dosłowna, jako że ponad dziewięćdziesiąt procent uczniów mieszkało w internacie. W czasie pięciu lat nauki udawało się osiągnąć prawdziwe, chwila mi zaskakujące wyniki w humanistyce, muzyce, plastyce, matematyce. Nade wszystko ta nauczycielska młodzież umiała pracować z dziećmi.

O wiele trudniejsze okazały się próby przekształcenia w nauczycieli słuchaczy dwuletniego studium nauczycielskiego. Zespół pedagogiczny robił jednak to z takim oddaniem i entuzjazmem, że spośród absolwentów SN szkolnictwo zyskało wielu świętych fachowców.

Nie łatwo jednak było brać na siebie w SN zobowiązanie dokonania tak bardzo przysięszonego przeobrażeń młodych ludzi. Jak w dwa lata wyrobić w nich poczucie odpowiedzialności za życie, zdrowie dziecka, jak wyrobić lub utrwalić chęć i umiejętność życiowego, kulturalnego odnośnienia się do ucznia? Wyszłajęc esenistom na praktyki, dyrektor wśród niezliczonej liczby pouczeń, zawsze dodawał taką oto: — Jeśli stwierdzę, że gdzieś dzieciaki wchodzi wam na głowę, nie sobie z was nie robią, a wy nie umiecie sobie poradzić — z tego słowa nie powiem. Gdy jednak do wtem się zobaczę, że ktoś stosuje kapitałskie metody — będzie miał ze mną do czynienia.

Wkrótce SN także przeszły do historii, a zawodowy dyrektor, jak o sobie mówi Jerzy Korkozowicz, przejął na dziećmi

lat ster w Liceum Ogólnokształcącym w Ostródzie.

III

Czym kierował się dyrektor, który przez trzydzieści lat nie opuszczał fotela w olsztyńskim szkolnictwie? Jak sam powiada, jego zasada brzmi niezwykle dumnie, ale jest prawdziwa. Nie boi się o niej mówić publicznie. — Nie pozostawić dla siebie żadnego zaoszczędzonego fragmentu życia. Wszystko, czym dysponował, starał się poświęcić szkole, za którą odpowiadał. Ale, jak mówią inni, taka jest osobowość tego człowieka i jego praca, bez względu na to, czy działania były udane, czy nie bo i tak się zdarzały.

Dyrektorował w trudnych latach. Skoro ten znający wagę słowa człowiek mówi, że jest to niewypowiedzianie ciężka praca, to należy przypuszczać, iż było jeszcze gorzej. Tym trudniej, im bardziej się chciało prowadzić ją w klimacie swobody i zaufania, przy zachowaniu pełnej odpowiedzialności za czynny każdego członka zespołu.

Współpracownicy Korkozowicza mówią o nim, że nie był apodyktyczny, choć czasy temu sprzyjały. On sam powiada, że był walczył gwałtowny. Z usposobienia nie jest typowym pedagogiem; do dziś w jego pozycjach jest wiele emocji, a na równowagę ducha zawsze zdobywał się z trudnością.

Czy postepował tak, jak obchodzono się z nim w „Staszcu”? Nie wie, jak dyrektor tamtego gimnazjum począł sobie z kolegami. On w kontaktach z wielu dziesiątkami nauczycieli starał się każdemu poświęcić sporo czasu. Nie było kolegi, za którego nie czułby się odpowiedzialny. Czasami dawało to piękne rezultaty.

W stawianiu wymagań był nieustępliwy. Sposób prowadzenia lekcji przez nauczyciela nie był mu obojętny. Jeśli wiedział, że niedoskonałość wynika z braku doświadczenia, starał się umiejętności kolegi pomógł; jeśli uznał, że tak trzeba — potrafił boleśnie dokuzyć. Na pewnym etapie dołożył się około dwóch tysięcy hospitacji, a po takiej ich liczbie ma się już oko. Jak to kiedyś określił znakomity kurator olsztyński, Franciszek Sikora, mając za sobą taką praktykę można ocenić lekcje nawet w szkole chińskiej.

IV

Gdy w pewnym momencie usłyszałem: — Jestem zawodowym dyrektorem szkół i skutków tego nie da się wykreślić! — nie mogłem oprzeć się pytaniu o polonistyczne credo profesora. Przecież formalnie zawód dyrektor nie istnieje, choć może powinien...

W mieście, w którym spędził tyle lat, a także z lamów „Głosu”, jest znany jako nauczyciel języka polskiego. W takiej roli pozostał do dziś w ostródzkim liceum. Wciąż jak to jest? A może raczej: jak to było z polonistyką przez te trzydzieści lat dyrektowania?

Odpowiedź była zaskakująca. Okazuje się, że przez lata lekcje polskiego były pociechą w życiu i odtrutką na ciężar dyrektorskiej pracy, rozjaśniały trudne życie i przynosiły ulgę duchową. Może dlatego pan Jerzy, jak sądzi, uczył dobrze. Na zajęcia biegł często wprost z kotłowni, strychów, rozpaczliwie nieprzyjemnych konferencji, gdzie lano, pouczano lub przelewano z pustego w próżne. Lekcje, do których nigdy nie mógł się tak gruntownie przygotować, jak przed objęciem pierwszej funkcji i teraz na emeryturze — były spontaniczne, na ogół wesołe, pogodnie, jakby na przekór dyrektorskiej codzienności.

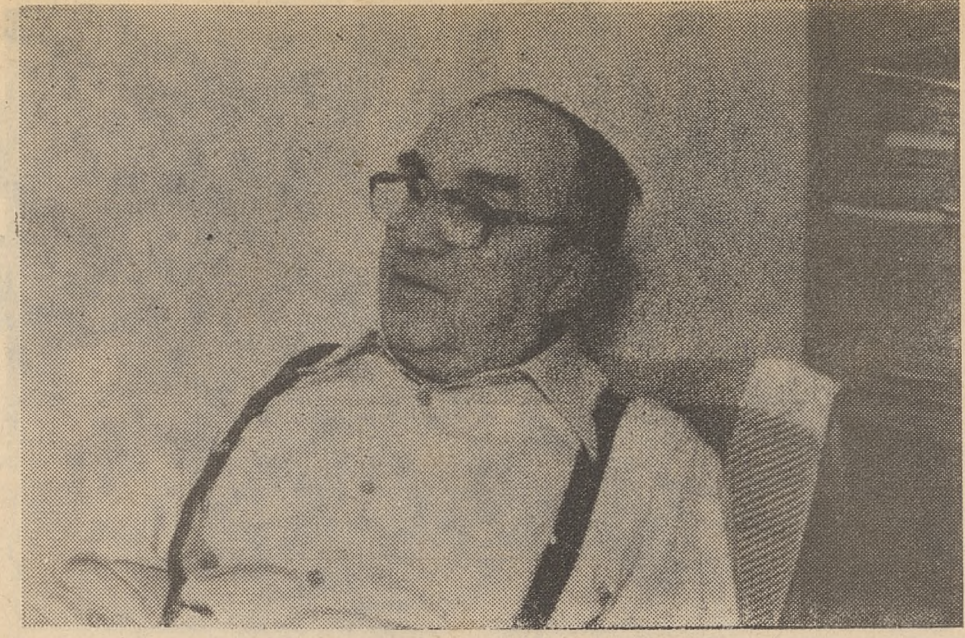
Mówi, że z poczucia sprawowanej władzy płynęło poszerzenie treści stereotypowych zajęć. Mając ogromny wpływ na życie swych szkół, był autorem niezliczonych widowisk, reżyserem fragmentów sztuk czy całych spektakli. Zdarzyło się, że raz „Zemsta” zagrali wyłącznie nauczyciele, a uczniowie byli krytykami. Starsi absolwenci pamiętają kostiumową „Operę za ćwierć grosza”. Do tych imprez angażowano chóry, zespoły wokalne, orkiestry, których do dziś nie brak w liceum. Była to że użyje słów mego rozmówcy, polonistyką dyrektorską, która miała ambicje przemawiania do całej szkoły i środowiska. Praca oburzmyła, Lekcje odgrywały w niej nieporównanie mniej znaczącą rolę. Nie brakowało więc dydaktyki, bo musiała być, ale szkolne życie było przesycone nieustannym reżyserowaniem artystycznych produkcji, które młodzież traktowała niesłychanie poważnie.

Z pewnością dlatego, że dyrektor Korkozowicz był polonistą, w zakładach kształcenia nauczycieli, którym kierował kwitła sztuka recytatorska. Do kwalifikacji absolwentów tych placówek należała umiejętność bycia na scenie, przynajmniej w charakterze recytatora. Musiał znać się także na małych inscenizacjach, aktorstwie, a także na muzyce. Do tych umiejętności przykładał ogromną wagę.

A credo polonisty i dydaktyka? Profesor uznał to słowo za zbyt wielkie. Jego stać tylko na uwagi. Zawsze był przeciwnikiem formalnie traktowanych konspektów, w których określano różne cele. Traktował je jako nieporozumienie i ośmieszanie powagi pracy dydaktycznej, ale jednocześnie nigdy nie pozostł na zajęcia bez pisemnego określenia ich treści. Był to zawsze zapis merytoryczny. Jeśli tego nie zrobił z braku czasu, miał zwyczaj stawać przed klasą i przeproszać za to, że jest źle do lekcji przygotowany.

Gdy dziś spotyka się ze zdaniem, że on ze swoją wprawą w ogóle nie zużywa czasu na jakiegokolwiek przygotowanie się, bo to, co robi, jest wielką improwizacją — go rąco protestuje. Także dziś strasznie wkurwa każda lekcja w domu, przypomina sobie teksty literackie, by w pełni panować nad przebiegiem zajęć. Pamięć bywa zawodna. Ma w swym archiwum dyspozycje sprzed pięciu czy dziesięciu lat, ale nie wierzy im. Może dlatego „Lalka” Prusa jest na jego zajęciach inna dziś, niż była ognis.

W miasteczku, w którym spędził tyle lat, a także z lamów „Głosu”, jest znany jako nauczyciel języka polskiego. W takiej roli pozostał do dziś w ostródzkim liceum. Wciąż jak to jest? A może raczej: jak to było z polonistyką przez te trzydzieści lat dyrektowania?



Jakim więc jest polonista? Trudno powiedzieć. Gdy zaczynał, zaskakiwały go odgłosy świadcząca, że uczniowie go lubią, że słuchają. Może przyczyniło się do tego niebanalne postępowanie, które do dziś cechuje profesora? Na maturze sprzed dwóch lat, po uzgodnieniu z dyrektorem, każdy zdający pisał odpowiedź na trzy regularnie wytykane pytania, proponował komisji do wyboru trzynaście wierszy, z których jeden recytował. Umowa z klasą była taka, że utwory nie będą się powtarzały.

Zdumienie ogłoszami, o których wspominałem, brało się stąd, że dyrektor jakby nie bardzo ufał polonistom. Jest w tym zapewne sporo przekory. Wprawdzie Jerzy Korkozowicz nigdy nie miał ambicji przygotowywania olimpijczyków, w ubiegłym roku praca maturalna jego uczennicy otrzymała jedną z równorzędnych nagród w popularnym, cenionym konkursie „Zycia Warszawy”. Rocznik 1987 był zresztą jednym z ciekawszych w ostatnich dziesięciu latach. W „Gazecie Olsztyńskiej” ukazało się wówczas sporo informacji, które wyszły spod piór reprezentantów tej klasy. To nie są częste przypadki.

Nie spotkałem do tej pory pedagoga, który by w rozmowie z dziennikarzem próbował otwarcie odpowiedzieć na pytanie: — Co umiemy i zawsze umiemy robić? Więc co? Zbliżyć klasę do arcydzieła literackiego. Nie jest łatwo schodzić w głąb myśli i warsztatu autora. Wystarczy przeczytać kilka monografi historyczno-literackich, aby się o tym przekonać. A przecież uczeń to na ogół dość powierzchownie zapisała tablica. Aby ją wypełnić, trzeba czasu. A profesor tego czasu nie żałował. Po omówieniu na przykład „Wesela” klasa rozmawiała z nauczycielem językiem tego utworu przez dłuższy czas. Jeśli w utworze jest komizm, klasa śmieje się serdecznie, przytłumia.

I znowu zaskoczenie, gdy słyszę, że profesor właściwie tylko do tak pojmowanej dydaktyki się nadaje. Jest w stanie i chce w ciągu roku omówić kilka utworów o niezwykłej doniosłości. Stwarza w związku z tym atmosferę, w której nie wypadła nie przeczytać danej książki, nie wypada o niej nie rozmawiać, nie wypada nie uznać jej za swoją własność i tak dzieje się z wszystkimi milowymi kamieniami wyznaczającymi szlak szkolnej polonistyki.

Tymczasem od lat z programu odesłmano jedną pozycję, ale drugą rolę dodawano trzy lub więcej. I do tej zabawy Jerzy Korkozowicz, jak samokrytycznie stwierdza — po prostu się nie nadaje. Jeśli nie mieści się to w pojemności nauczyciela, a tak właśnie jest, jeśli nie czuje się on w pełni swobodnie i musi raz po raz zaglądać do licznych źródeł, aby sobie więcej uzmysłowić, to jak można oczekiwać głębszego zainteresowania i tak wszechstronnej wiedzy u ucznia. I tu tkwi stały konflikt między świadomym swych możliwości nauczycielem, a twórcami programu. Konflikt oraz towarzysząca mu rozpacz. Bo skoro się wie, że na przykład w klasie drugiej młodzież może w pełni zrozumieć i absorbować pięć sześć podstawowych utworów literackich, a pozostaje pięćdziesiąt parę innych, o których czyni się wzmianki, to program lekceważyć nie wypada — to człowiek nie może czuć się dobrze.

Mój rozmówca uważa, że mimo upływu lat nie opanował metody informowania o dziele, którego się nie poznało w trakcie lekcji. Książka nie przeczytana — nie istnieje w świadomości ucznia. Współczesne programy języka polskiego wykluczają refleksję, która musi być udziałem polonistycznej pracy. Człowiek, zarówno nauczyciel jak uczeń, musi mieć prawo i czas na powrót w trakcie następnej lekcji do wniosków, które mu się wcześniej nasunęły. Tymczasem trzeba iść lub raczej — gonić dalej. Szkoła polonistyką jest więc zdana. Nauczyciel nie może wciąć pracować w poblochu pod ogromnym ciśnieniem teoretycznych norm ustalanych na górze.

Wśród swoich młodszych uzdolnionych koleżanek pan Jerzy obserwuje przysięganie i niepokój z powodu trudności w realizacji programów. Gdy polonista jest człowiekiem z otwartym umysłem i sumieniem, nie może mieć dziś satysfakcji z pracy wykonywanej w takiej atmosferze. Trzeba być wyjadaczem, którego na wiele stać, aby sobie pozwolić w praktyce na krytyczne przeobrażenie tego programu.

Przez niemal całą dekadę lat siedemdziesiątych dyrektor był członkiem kolegium kuratora oświaty. Zmierzano wówczas wszystkimi drogami do tego, aby do szkół trafiali wyłącznie nauczyciele po wyższych studiach. W trakcie jednego z posiedzeń kurator wiele ubolewał, że w przyszłym roku szkolnym będzie miał jeszcze siedemnaście niewykwalifikowanych kolegów.

W cztery lata po przejściu na emeryturę, gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, profesor został zaproszony do Olsztyna, aby wygłosił odczyt o etyce nauczycielskiej dla kolegów stawiających pierwsze kroki w zawodzie. Przygotowywał się bardzo starannie. Na dworcu w Ostródzie spotkał kilkanaście świeżo ucieczonych maturzystek swego liceum. Uczył wszystkie. Można sobie wyobrazić zdumienie mistrza, gdy się dowiedział, że one już są nauczycielkami i jadą do Olsztyna na odczyt. Nie wiedziały tylko — czyj.

Do dziś nie może zapomnieć sali, przed którą stanął. Miało tam być około dwustu osób, a zjechało gdzieś czterysta reprezentantów nauczycielskiej... dzieciarni. Jeszcze nie tak dawno kurator rozpoczął z powodu obecności siedemnastu, a dziś jego następcę spokojnie zapraszał na spotkanie z czterystoma bez kwalifikacji. Ten zdyscyplinowany, głęboko związany ze szkołą człowiek nie mógł zrozumieć, co się wydarzyło i co się dzieje.

I w takich to okolicznościach odbył się jeden z najdramatyczniejszych, najbardziej poważnych odczytów, jakie miał w życiu. Uznał, że też biednej, nieszczerze nauczycielskiej młodzieży należy się od niego wszystko, co miał najwartościowsze.

Zastanawialiśmy się wspólnie, jakie już są i mogą być tego następstwa. Najgorzej nie jest brak jakiegokolwiek bariery dostępu do nauczycielskiego zawodu. Nigdy dotąd nie było tak, aby każdy mógł stanąć przed uczniami i postępować z nimi, jak mu serce dyktuje. Przecież nie da się opowiadać trudnej profesji podczas iluś tam spotkań kursowych, organizowanych przez kilka miesięcy po pracy. Takich sytuacji nie spotyka się w żadnym zawodzie.

W historii demokracji polskiej jest to dla przedwojennego lewicującego, symazjalisty i studenta dramat nie do opisania. Całe szczęście — usłyszałem — że Witos i ludzie jego pokroju nie żyją. O młodzież wiejską chodziło przez dziesiątki lat. W imię jej dobra dokonywała się nasza rewolucja. Pan Jerzy był tego świadkiem w 1946 w książkowej wsi pod Łowiczem. Rzesze tej młodzieży przeżywały tam wspaniały okres duchowego rozwoju, wiary w to, że zaczyna się czas ich wielkich zdobyczy, bujnej przyszłości. Ta szkoła, choć państwowa, była w gruncie rzeczy utrzymywana przez wieś i przez nią szanowana. Była to jedna z niewielu szkół, jakie widział w swoim życiu przyszyły zawodowy dyrektor, w której nie istniał przymus nauki, bo był niepotrzebny. To, co się dzieje dziś w placówkach wiejskich, jest procesem, którego ten stary działacz oświatowy po prostu nie rozumie.

V

Przez niemal całą dekadę lat siedemdziesiątych dyrektor był członkiem kolegium kuratora oświaty. Zmierzano wówczas wszystkimi drogami do tego, aby do szkół trafiali wyłącznie nauczyciele po wyższych studiach. W trakcie jednego z posiedzeń kurator wiele ubolewał, że w przyszłym roku szkolnym będzie miał jeszcze siedemnaście niewykwalifikowanych kolegów.

W cztery lata po przejściu na emeryturę, gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, profesor został zaproszony do Olsztyna, aby wygłosił odczyt o etyce nauczycielskiej dla kolegów stawiających pierwsze kroki w zawodzie. Przygotowywał się bardzo starannie. Na dworcu w Ostródzie spotkał kilkanaście świeżo ucieczonych maturzystek swego liceum. Uczył wszystkie. Można sobie wyobrazić zdumienie mistrza, gdy się dowiedział, że one już są nauczycielkami i jadą do Olsztyna na odczyt. Nie wiedziały tylko — czyj.

Do dziś nie może zapomnieć sali, przed którą stanął. Miało tam być około dwustu osób, a zjechało gdzieś czterysta reprezentantów nauczycielskiej... dzieciarni. Jeszcze nie tak dawno kurator rozpoczął z powodu obecności siedemnastu, a dziś jego następcę spokojnie zapraszał na spotkanie z czterystoma bez kwalifikacji. Ten zdyscyplinowany, głęboko związany ze szkołą człowiek nie mógł zrozumieć, co się wydarzyło i co się dzieje.

I w takich to okolicznościach odbył się jeden z najdramatyczniejszych, najbardziej poważnych odczytów, jakie miał w życiu. Uznał, że też biednej, nieszczerze nauczycielskiej młodzieży należy się od niego wszystko, co miał najwartościowsze.

Zastanawialiśmy się wspólnie, jakie już są i mogą być tego następstwa. Najgorzej nie jest brak jakiegokolwiek bariery dostępu do nauczycielskiego zawodu. Nigdy dotąd nie było tak, aby każdy mógł stanąć przed uczniami i postępować z nimi, jak mu serce dyktuje. Przecież nie da się opowiadać trudnej profesji podczas iluś tam spotkań kursowych, organizowanych przez kilka miesięcy po pracy. Takich sytuacji nie spotyka się w żadnym zawodzie.

W historii demokracji polskiej jest to dla przedwojennego lewicującego, symazjalisty i studenta dramat nie do opisania. Całe szczęście — usłyszałem — że Witos i ludzie jego pokroju nie żyją. O młodzież wiejską chodziło przez dziesiątki lat. W imię jej dobra dokonywała się nasza rewolucja. Pan Jerzy był tego świadkiem w 1946 w książkowej wsi pod Łowiczem. Rzesze tej młodzieży przeżywały tam wspaniały okres duchowego rozwoju, wiary w to, że zaczyna się czas ich wielkich zdobyczy, bujnej przyszłości. Ta szkoła, choć państwowa, była w gruncie rzeczy utrzymywana przez wieś i przez nią szanowana. Była to jedna z niewielu szkół, jakie widział w swoim życiu przyszyły zawodowy dyrektor, w której nie istniał przymus nauki, bo był niepotrzebny. To, co się dzieje dziś w placówkach wiejskich, jest procesem, którego ten stary działacz oświatowy po prostu nie rozumie.

W ostatnich pięciu latach zdołał wydać dwie książki: wspomnienia — „Wycieczka na Łomnicę” i refleksje literackie — „Od Paska do Przymyszwskiej”. Można w nich znaleźć uzupełnienie polonistycznego credo autora i nauczyciela. Stały felieton „Aby język...” nie jest jedynym świadectwem pasji i niezwykłej witalności „Zasłużonego Nauczyciela PRL”. Można go często spotkać także na łamach „Gazety Olsztyńskiej”.

Ostatnio musiał się poddać dwóm ciężkim operacjom. Nigdy nie dowiemy się, ile to aktywne życie wymaga wysiłku. A może jest też w nim zwykły ludzki ból, gdy podnierzając się już dziś nieodłączoną łaską premierza szkolne klasy. Chapeau bas, Panie Profesorze.

Jerzy Krasniewski
Zajęcia autora

PRAGNIENIA UCZNIÓW

Jeszcze nie tak dawno uczniowie ostre, krytyczne uwagi o swych wychowawcach ujmawali w wypowiedziach anonimowych. Po trosze dlatego, że nie wypadło ot, tak, wprost wygnane starszemu z wielką urzędą, co się o nim naprawdę myśli. Głównym jednak hamulec owej wstrzemięźliwości był nie savor vivre, lecz lęk przed konsekwencjami. Bo też nigdy nie wiadomo, co komu głęboko w serce zapadnie; czasem nierozważne słowo...

Alle czasy się zmieniały, uczniowie, na uczyć dorosłych, krytykować się nie boją, także swoich wychowawców. Wiedzą — że o wiele odważniejsi od dorosłych, bo mówią wprost i konkretnie, nie ukrywając twarzy i nazwiska.

Niedawno w telewizyjnej audycji o szkołach prywatnych naukowcy, nauczyciele i uczniowie odpowiadali na pytanie, czy chcieliby takiej szkoły, firmowanej przez rodziców, ale też przez nich zarządzanej, oczywiście wspólnie z nauczycielami i uczniami. Obietnica to kusząca, skoro w takiej szkole ma być luźno, wygodnie, przyjaźnie, wesoło i przestana straszyci dwoje. Nauka stanie się przyjemnością.

Różni ludzie optywający za taką szkołą podają różne argumenty. Najczęściej są to: dobrą najlepszej kadry, niewielka liczba uczniów w klasie, różnorodność i atrakcyjność zajęć (także pozalekcyjnych) oraz innych form szeroko pojętej edukacji wspólnoty nauczycieli, uczniów i rodziców w tworzeniu i zarządzaniu szkołą, swoboda, życzliwa atmosfera.

Jedynie życzenia dziecięcej były inne. One zabiegaliwały to wszystko, co obraca się w sferze materii. Pominęły i to, że klasy będą mniej liczebne, być może ten smak uczniowskiej kariery jest im nieznanym.

Motywy wyboru najważniejszym i w tych wypowiedziach jedynym są oczekiwane kontakty z nauczycielami. Młodzież z góry zakłada — co jest zgodne z obietnicą projektodawców — że te kontakty będą dobre, przyjazne i prawdziwie partnerskie. Nauczyciel w tych układach nie może niczego, nakazać, jego obowiązkiem jest zainteresować, przekonać, zachęcić. Są to sytuacje we współczesnym świecie nie nowe, jednakże w wielu krajach nie stosowane powszechnie.

Licealistki były jednak konkretne. „Chciałabym uczyć się w takiej szkole — to wypowiedź jednej z nich — ponieważ miałabym wpływ na wybór nauczyciela”. Tak więc dziesięćdziesiątka odrzucały tych, którzy nie odpowiadają ich wyobrażeniom dobrego pedagoga i wychowawcy. Ich oczekiwania musiałaby mieć znaczący wpływ na to, czy nauczyciel zostanie się w tej szkole, czy też nie.

To także nie nowego, w wielu krajach ten sposób oceny nauczyciela funkcjonuje, oczywiście ocenę tę dają nie tylko uczniowie, jednakże w wielu krajach nie stosowane powszechnie.

Toteż w tym jedynym dążeniu, moim zdaniem najpoważniejszym — że szkoła prywatna, firmowana przez rodziców, będzie pod ręką z demokracją — jestem za koncepcją grupy społeczników z warszawskiego dzielnicy Ursynów. Gdyby taka szkoła stała się początkiem tworzenia całkiem nowych i zdrowych stosunków między uczniem, rodzicami i nauczycielami, opartych na rzeczywistym partnerstwie i współpracy — byłbyśmy o krok bliżej szkoły przyszłości. A to właśnie wszystkim nam się marzy.

Prof. M. Suechicki



HALINA DRACHAL

BRAĆ PIĘKNO I DAWAĆ



Jest znany nie tylko we własnym środowisku. Gdy w hotelu pytam o drogę do nauczycielskiego klubu, zgodny chór ekscytacji natychmiast odpowiada — ach, myśli pani pewnie o „Starówce”... To bardzo blisko.

I rzeczywiście. Od „Neptuna” dziesięć minut spacerkiem i jestem na miejscu — wśród starych kamieniczek, o krok od Zamku Książąt Pomorskich.

Gdzieś tam tłum zagonionych w wiecznym po coś biegu ludzi, gdzieś tam rozjeżdżone samochody, „mknące po szynach tramwaje” z dawnej piosenki, wijące się w sklepach kolejki. To wszystko nie pasuje do staromiejskich uliczek, kamieniczek, które mają duszę. Wśród nich człowiek czuje się człowiekiem, pobudzają wyobraźnię, każą się zastanowić, zwolnić tempo, zatrzymać. A może to tylko nostalgia za urodą i jakimś wewnętrznym bezpieczeństwem dawnych domów osoby otoczonej brzydotą wielkomiejskich bloków? Może to pozorny spokój, spowodowany popołudniową porą? Może...

Zresztą nieważne. Dobrze, że są takie urokliwe miejsca i że w takim właśnie szczecińska oświata ma swe siedlisko, swój Nauczycielski Klub Kultury. Siedlisko duże i małe zarazem. Zależy jak patrzeć. Ci, którzy chcieliby znaleźć w nim miejsce na pracownię twórcze — nie znajdują, bo takowego przy Mariackiej 26 po prostu nie ma, co nie znaczy, że praca kulturalna leży.

Tu zaprezentować można to, co się już stworzyło: wymyśliło, napisało, namalowało. Atmosfera otoczenia, starej gotyckiej piwnicy, dębowe stoły, ławy, krzesła, przyćmione światło, a dla jeszcze lepszego podkreślenia nastroju — palące się świece — sprzyja prezentacji własnego dorobku.

Także na co dzień miło tu wpaść, tak po prostu z ulicy, zatrzymać się na moment, umówić z przyjaciółmi, wypić lampkę dobrego wina, popatrzeć na wystawiane systematycznie prace malarskie kolegów nauczycieli. Czy dużo mamy takich miejsc? Przecież nie...

Swą ofertę zawarli w króciutkim — pięknie wyrysowanym — kierowniczką Iwona Graczyk bardzo dba o szczegóły — zaproszeniu. „Starówka” zaprasza więc z wyjątkiem poniedziałków od godziny 15 do

22. Dla nauczycieli czynna kawiarnia. W czwartki, soboty i niedziele odbywają się wieczorki taneczne. Gra zespół Collection. Słyszałam, zupełnie nieźle. Przy Klubie działają sekcja literacka, plastyczna, szachowo-brydżowa. Zapraszają na rozgrywki, turnieje szachów i brydża, biesiady literackie, konkursy literackie i plastyczne, wernisaże. Klub organizuje warsztaty artystyczne, plenery malarskie wojewódzkie, ogólnopolskie i międzynarodowe. Tak to mniej więcej wygląda hasłowo.

Aby martwa litera najpiękniejszego hasła ożyła — potrzebni są ludzie. Twórcy i organizatorzy, tacy którym tu nie wypełnia całego życia, którzy mają jakieś pasje i chcą je wspólnie realizować. Odpowiedni klimat, tak potrzebny każdej twórczości zawdzięczają staraniom nowej kierow-

Województwo szczecińskie ma siedem nauczycielskich klubów kultury. Poza „Starówką” w samym Szczecinie, są jeszcze w pobliskich Policach, Stargardzie Szczecińskim, gdzie z kolei działa świetna sekcja plastyczna pod kierunkiem Ryszarda Balonia, w Gryfinie, Podgrodziu, Osinie i Świnoujściu. Dysponentami większości z nich są wydziały oświaty. Jedynie dwa w Policach i remontowany własnie klub świnoujski są w gestii ZNP. Wydawać by się mogło, że tam gdzie są kluby środowiskowe życie kulturalne kwitnie, mają przecież warunki. Jedni lepsze, inni trudniejsze. Z tym jest różnica, bo na przykład Pyrzyce nie mają własnego lokalu, ale ich zespół wokalny jest najlepszy w województwie.

Na ogół kluby prowadzą małą gastronomię. Bufety oddawane są w ręce agentów. Ci chcą zarobić. Zdarza się, że granica między środowiskowym klubem twórczym, miejscem integracji ludzi jednej profesji, ogarniętych jakąś wspólną pasją, a zwykłą — jedną z wielu kawiarni jest bardzo cienka. Potrzebne jest i to, i to. Rzecz w tym, by nie złamać proporcji, by przyjemne nawet życie kawiarniane, nie przysłoniło celu istnienia takich klubów. Nad tym czuwać powinni ich gospodarze i społeczne rady, mające przecież pewien wpływ na to, co się w klubach dzieje.

niczki klubu. Iwona Graczyk rozpoczęła tu pracę od września 1986 r., ale też niemal od razu zaczął się generalny remont. Może to zresztą dobrze, bo mogła stworzyć klub takim, jakim chciałaby go widzieć. I prawie dopięła swego. Jeszcze tylko drobniutki zostały do dopracowania. Dla niej niezwykle ważne. „Chcę się dopracować piękna w szczegółach” — mówi mi — oprowadzając po swych włościach.

Bardzo są one skromne. Stojąc przy szatni jednym spojrzeniem ogarniam wejście, gabinet pani Graczyk i zejście do piwnicy, gdzie mieści się klub. A ten gabinet... Kąt wyodrębniony z korytarza, też niewielkiego, w sumie może jakieś pięć metrów kwadratowych, z oknem wychodzącym na szatnię. Gdy dwie osoby tu staną jest ciasno, gdy trzy — tłok. Swe biuro,

czyli dokumenty, pieczątki, prace konkursowe itp. pani Iwona częściowo nosi w sporych rozmiarów torbie, częściowo ma schowane w narożniku, pełniącym tu wiele odpowiedzialnych funkcji, nie tylko siedziska. Niedługo przybędą półki na specjalne zamówienie, dodatkowe listwy wzdłuż ścian korzytarzyka, magazyn nad wejściowymi drzwiami zyska właściwą oprawę i będzie można odetchnąć. Choć, czy ja wiem, tak niespokojny duch jak Iwona Graczyk zawsze znajdzie sobie dodatkowe zajęcie. Pod jej kierunkiem „Starówka” przeżywa drugą młodość. Słyszę to i w okręgu, i w oddziale ZNP. Bo, jeśli ktoś nie tylko ma pomysły, ale w dodatku wie co i jak z nimi zrobić — ludzie to widzą.

Mimo trwającego w ubiegłym roku remontu nie zaniechali pracy kulturalnej. Literatów i plastyków przyczyniły szkoły. Przewodniczącą sekcji plastycznej jest Halina Rutkowska. Jej prace były już w klubie wystawiane, podobnie jak Wandy Zychniewicz, Janiny Szumotańskiej. W listopadzie trwał akurat wernisaż prac Bronisławy Kaczor.

Literaci też nie zasypywali gruszek w popiele. Kilkumastoosobowa sekcja, grupująca ludzi z całego województwa szczecińskiego, pracuje pod przewodnictwem dr. Janusza Poźniaka, adiunkta w Zakładzie Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Szczecińskiego. W ubiegłym roku gościem sekcji był Stanisław Stanuch — miał u nich swój wieczór autorski. Poza wieczorami profesjonalistów organizują własne, członków klubu. Mile wspomniany jest wieczór Józefa Bohatkiewicza, autora wspomnień obozowych „Wyprawa do oflagu II c”, nestora szczecińskiej oświaty. Bożeny Słań — nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 41 w Szczecinie, autorka zbiorku wierszy „Impresje liryczne”, Ireny Kozłowskiej i Janusza Poźniaka.

Imprezą, która najmocniej utkwiała w ich pamięci była Ogólnopolska Biesiada Literacka, na którą przyjechali literaci z zaprzyjaźnionych klubów z Łodzi, Poznania i Zduńskiej Woli. Utrwaliła się w pamięci może także dzięki wspaniałej oprawie, jaką jej nadano.

Teraz przygotowują do druku almanach poetycki członków sekcji. Ale te wszystkie mniej lub bardziej spektakularne akcje czy imprezy nie są znów tak ważne — mówi Janusz Poźniak — najważniejsze, że ludzie piszą, chcą się tym co robią z kimś podzielić, no i mają gdzie to robić. A wszystko inne to tylko obudowa.

★

Klub przy Mariackiej odwiedzają więc literaci, plastycy, szachiści, brydżyści, tzw. ciekawi ludzie, na występy Krzysztofa Daukszewicza przyszyły tłumy, ale to wszystko jeszcze nie to... Czegoś mi brak — mówi Iwona Graczyk. — Mamy świetne warunki na spotkania z satyrykami. Marzy mi się stworzenie nauczycielskiego kabaretu. Czemu nie, sytuacje niesie samo życie, a w tak dużym jak szczecińskie środowisku oświatowym na pewno są ludzie potrafiący patrzeć satyrycznie i zagrać. Poprowadzić przynajmniej na początku musiałby profesjonalista. To pomyśl na trochę później.

Na szybko zaś „Folklor w Starówce”. Od nowego roku co miesiąc zamierzamy — mówi pani Graczyk — gościć jakiś zespół regionalny z naszego województwa. Będą gospodarzami wieczoru, z własnym nie tylko programem artystycznym, regionalnymi strojami, ale i bufetem, oryginalnymi daniami charakterystycznymi dla tej okolicy. To takie nasze klubowe zbliżenia miałyby być i odwrotnie.

WCIAŻ ZA MAŁO

Spośród 1164 obiektów oświatowych województwa wrocławskiego, zaledwie 385 (33 proc.), wybudowano po wojnie. Znaczna część pozostałych pochodzi z końca ubiegłego wieku. Ten sam średni wskaźnik dla kraju, jest o 19 proc. wyższy. Wrocławskie ma powody, by martwić się o warunki lokalowe swoich szkół.

Sytuacja pogorszyła się gwałtownie po wprowadzeniu nowego podziału administracyjnego w 1975 r. Wydzielone z byłego Wrocławskiego województwa legnickie, wałbrzyskie, jeleniogórskie, okazały się tymi, w których — w związku z rozwijającym tam przemysłem — budowano dla oświaty najwięcej. Na pozostałych obszarach trzeba było gwałtownie inwestować i remontować.

Pod koniec lat siedemdziesiątych nie wznoszono więcej, niż 30—40 pomieszczeń lekcyjnych (jedna, dwie szkoły) rocznie. Efekty poprzednich preferencji ciągnęły się za nowym planem 5-letnim, jak przysłowiowy ogon. Zakładano powstanie 14 szkół i 13 przedszkoli. Pogłębiający się kryzys gospodarczy zamieniał rozwiązania optymalne w nierealne.

Pewne ożywienie, jakie dało się zaobserwować w budownictwie oświatowym województwa po roku 1983, znów uległo zahamowaniu. Tym razem powodem jest wprowadzenie w projektach szkół nowych, obowiązujących od 1 stycznia 1985 roku norm powierzchniowych, cieplnych i wentylacyjnych. Stosowane dotychczas prefa-

brykaty przestały być użyteczne, podobnie jak formy do nich. Murowanie obiektów z cegieł było wykluczone z powodu znacznie większych kosztów. Wprawdzie zapowiedź zmiany norm dotarła do wykonawców i projektantów dwa lata wcześniej, jednak w panującym powszechnie budowlanym chaosie nie spodziewano się konsekwentnego wprowadzenia ich w życie. Czas, który należało poświęcić na przystosowanie produkcji do nowych norm, został zmarnowany. Arbitralna decyzja, często nie przystająca do możliwości przedsiębiorstw, zablokowała oświatowe budownictwo co najmniej na trzy lata.

Do 1987 roku władze lokalne targowały się z centralą o poniechanie stosowania nowej normy powierzchniowej. Adresatów obfitej korespondencji kuratorium było wielu: Ministerstwo Administracji i Gospodarki Przemysłowej, Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy, Okręgowy Inspektorat Gospodarki Energetycznej, Instytut Techniki Budowlanej, Polski Komitet Normalizacji Miar i Jakości, Ministerstwo Oświaty i Wychowania długo konsultowało się z Ministerstwem Zdrowia. W tym czasie nie rozpoczęto budowy ani jednego obiektu.

Uzyskana wreszcie zgoda przyszła zdecydowanie za późno. Żaden producent nie podjął się już wytwarzania prefabrykatów według starej technologii, bowiem groziły mu za to kary pieniężne. Do wykonania optymistycznego planu na obecną pięcioletkę (17 szkół i 18 przedszkoli) pozostało jeszcze... 15 szkół. I choć tempo prac w ostatnich pięciu latach utrzymuje się na przyzwoitym poziomie (100 oddanych do użytku pomieszczeń w ciągu roku), to wyz demograficzny jest szybszy. Wskaźnik zmianowości dla województwa wprawdzie nie pogarsza się, lecz stoi w miejscu, więc nie można tego uznać za osiągnięcie.

Jeśli we Wrocławiu — gdzie działa 7 firm — potentatów budowlanych i kilka drobniejszych — łatwiej jest znaleźć wykonawcę, to sytuacja na wsi jest o wiele trudniejsza. Powstające tam obiekty wymagają budowy infrastruktury: wodociągów, oczyszczalni ścieków, linii elektrycznych. Spośród 39 gmin aż w 20—25 należy podjąć prace budowlane bądź remontowe. Przy tak dotkliwym braku materiałów i funduszy — nie będzie to łatwe.

Kto dąży do doskonałości, będzie zawsze wyższy nad mierność; lecz kto tylko o mierności myśli, jeszcze niżej spadnie...

BYĆ LIDEREM DLA SIEBIE

Jak żyć obecnie, by wlecieć ponad konieczność egzystencji? Dzieląc się przemysłami, chciałbym przedstawić to, co uważam za najważniejsze czym się kieruję, co chciałbym przekazać ci siębie innym.

Niedawno szedłem z kolegą do pracy. Pociąg miał spóźnienie, było zimno i zaczął dokuczliwy deszcz. Z tych powodów, choć zwykle chodzę szybko, jeszcze mocniej wyciągnąłem nogi i przyspieszyłem kroku. Kolega próbował mnie powstrzymać mówiąc, że i tak jesteśmy spóźnieni. Ponieważ znam go jako osobę solidną i z poczuciem humoru, więc przyjąłem jego słowa za żart. Zwłaszcza, że on także nie jest zwolennikiem spacerów w deszczu. Okazało się, że jednak mówił serio i nie chce się wysilać. Tuż przed wejściem do pracy powiedział, że przeprowadził eksperyment i stwierdził, iż szedłem tak, by być co najmniej pół kroku przed nim. Chyba tak było, bo chciałem być jak najszybciej pod dachem.

Problem w tym, że to, co ja uważam za elementarne poczucie obowiązku (punktualność jest jednym z jego przejawów), wraz z awersją do deszczowej wilgoci, zostało uznane za przejaw perfekcjonizmu mającego na celu udowodnienie, iż jestem kimś (prymitywnie lepszym). Zaskoczyło mnie to potrójnie: 1 — że chęć punktualnego przybycia i schronienia się przed deszczem zyskała aż taką „ideologię”; 2 — że usłyszałem to od osoby, której poczucie obowiązku cenilem równie wysoko jak swoje; 3 — że może mój kolega... ma rację.

I właśnie ten trzeci aspekt, wraz z przeczytaną w jakiejś gazecie zachętą do poszukiwania czynników kreujących autorytety moralne wpłynął na podjęcie decyzji o utrwaleniu i opublikowaniu tych przemyśleń. Werbalizując chęć uporządkowania oraz upewnienia się w swoich kryteriach wartości (i być może spowodować dyskusję). Sam jestem przede wszystkim ich wirtualnym odbiorcą. Traktuję siebie jak kogoś, kogo mam przekonać do swoich racji. Jest to rozdwojenie świadome z pełnym poczuciem tożsamości, motywów oraz celów. Stąd kryterium uczciwości wobec siebie może miejscami dominować nad spójnością kompozycyjną.

Chcę napisać o kimś, kogo na tyle dobrze znam (choć nie na tyle, na ile bym chciał), by przedstawić go bez zawiesi, kokieterii i obaw, z przyzwoleniem na ironię czy pobłażliwość. Ocenę pozostawiam tym, którzy znają podobny wysiłek. Oni nie posadzą mnie o próżność czy płaski egocentryzm.

Chcę być liderem dla siebie (choć pojęcie lidera nie jest najtrafniejsze. Jest zbyt alienujące i niewymierne, niejednoznaczne), chcę być lepszym — moralnie i pragmatycznie — od tego kim w tej chwili jestem, i oczywiście nie po to, by wywyższać się nad innych. To, wbrew pozorom, jest niekiedy aż zbyt łatwe. Chcę przekonywać (a nie pokonywać) innych własnym przykładem (jako sugestia a nie pouczenie), że można oraz warto więcej wymagać od siebie. Ze świadomością, że prócz wewnętrznej satysfakcji i okazjonalnych dowodów uznania od innych (które nie muszą nastąpić), żadnych korzyści z tego nie będzie.

Chcę tego, wiem dlaczego, ponadto coraz lepiej wiem — jak Traktuję te wypowiedzi bardzo serio zdając sobie sprawę, że nie jestem jedynym, który zadaje sobie pytania: co wiem o sobie, co naprawdę wiem o sobie? Jeśli człowiekiem, to jakim? Kim jestem dla innych, dla siebie? Dlaczego wiem właśnie i tylko to? Czego nie wiem i dlaczego? Czego wiedzieć nie chcę i dlaczego? Dlaczego w ogóle zadają sobie te pytania?...

Wszystko jest po to, by z satysfakcjonującą samoświadomością i aktywnością odczuwać subiektywną urodę życia, dzielić się tą radością z innymi, tworzyć siebie, by mieć prawo w pomaganiu innym w tymże tworzeniu.

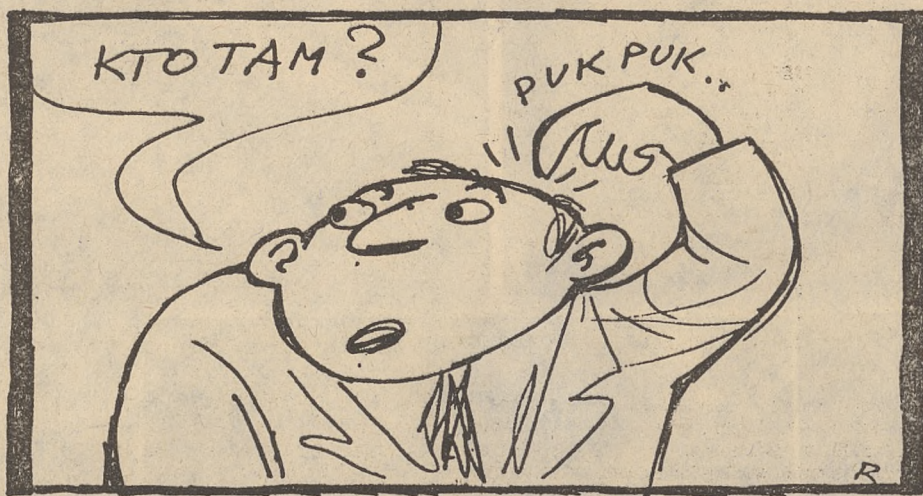
Zastanawiałem się, czy samorealizacja może zmierzać do samouciestwienia. Doszedłem do wniosku, że odpowiedzi „tak” i „nie” są równorzędne. Znalazłem jednak wartości i wymiary życia, które zwyciężyły nie tyle pesymizm, ile krótkowzroczność oraz pochopne uleganie emocjom, nawet tym przepuszczanym przez najgęstszy filtr intelektu. W tym upatruję swą siłę i odporność psychiczną. Być może, korzystając z terminologii prof. K. Dąbrowskiego, odnalazłem się na kolejnym, wyższym poziomie rozwoju w procesie pozytywnej dezintegracji.

★

Nie znam się na subtelnościach łaciny, ale sądząc, iż starożytni nawoływali nie do „poznaj samego siebie” (cognosce te ipsum), lecz do „poznawaj samego siebie” i w tej postaci odnoszę je do siebie. Inne starożytne przysłowia głosi: „Kto dąży do doskonałości — będzie zawsze wyższy nad mierność; lecz kto tylko o mierność myśli — jeszcze niżej spadnie”. W tym kontekście

moje „dążenie do doskonałości” wyraża się w różnorodności, wielości zainteresowań, a nie wycinkowej specjalizacji. Chcąc być lepszym od siebie, choć brzmi to paradoksalnie, muszę tworzyć siebie, by poznać i tworzyć innych (choćby z racji wykonywanego zawodu). Ktoś powie: „Jakież to ładne, jakie szlachetne intencje! Nic, tylko podziwiać i przyklasnąć, prawda? A może tak z innej strony? Może tak o lajdactwach i niechlubnych sprawkach, o których stale przypominam sumieniu? Może tak o ostatnim chociażby zaniedbaniu czegoś, sprawieniu komuś zawodu, skrzywdzeniu, niezrozumieniu, niedocenieniu? Może tak o dorabianiu szlachetnych usprawiedliwień do nieszlachetnych słów i czynów? Co, nie za bardzo? Było, minęło?...”

Odpowiedziałbym, że nie minęło. Jest we mnie i będzie długo, oby jak najdłużej. Daje to nadzieję, a nawet jakby pewną gwarancję, że drugi raz podobnego świństwa nie zrobię. Jest też ambicja zdrowa,



Rys. J. Rocki

a nie chorobliwa, oparta o rozwijającą się aktywność intelektualną, emocjonalną, estetyczną, a nie bylejaką czy inercyjną. Myślę o tym, by nie rezygnować z ambicji ze względu na wspomniane wyżej błędy, lecz przeciwnie — realizować ambicje by — o ile to możliwe — owe błędy naprawić i oczywiście nie powtarzać. Chodzi też o to, by nie rezygnować z ambicji, by uniknąć zatargów z otoczeniem.

Wielokrotnie odczuwałem ze strony innych irytację lub protekcyjność, pobłażliwą ironię. Był czas, kiedy mnie to drażniło, hamowało. Obserwowałem innych co raz siebie, szukałem tego co najlepsze, co warto rozwijać. Znalazłem kilka takich wartości, ale... Dlaczego musi być ten — wynikający z niezawinionego poczucia winy — niesmak, jeśli chce się być ambitnym (w najlepszym znaczeniu tego słowa)? Dlaczego „trzeba się liczyć z kolegami”, którzy zadowalają się przeciętnością, oczekiwaniem emerytury, dbałością o święty spokój, solidarnością nie tyle leniwych, ile wygodnych lub przemęczonych, lubiących powiedzonka „nie wychylać się”, „nie podskakuj”, „po co ci to?”...

Byłoby to zrozumiałe, gdybym rzeczywiście chciał udowodnić komuś swą wyższość, ale skoro chcę i mogę więcej, lepiej, skuteczniej, czy choćby inaczej?... Uważam się za w miarę zahartowanego, wytrwałego, umiejącego bronić swoich racji, ale dlaczego mam niepotrzebnie tracić czas i energię, by czytać niejasne poczucie zagrożenia (własnej pozycji lub tylko samopoczucia), brak zrozumienia dla tego co inne, brak wyobraźni lub aspiracji, niedość do wyjścia poza własne widzenie sprawy — ograniczało mnie?

Skąd pewność, że to ja mam rację? Tej pewności nigdy się nie ma, jest tylko intuicja i własne sumienie wolne od kierowania się wygodą, asekuracją itp. Chcąc być w zgodzie ze sobą, trzeba umieć przyznać rację i szanować tych nawet, których się nie lubi. Sęk w tym, że wówczas bardzo łatwo narazić się na bolesny i trudny do obrony zarzut dwulicowości, mimiery, karierowiczostwa, rozrabiactwa itp.

Jakie widzę wyjście? Jedynie długotrwałą cierpliwość, wytrwałość, głęboką i uczciwą świadomość swoich racji, konsekwencją w realizacji, dostrzeżenie i unikanie błędów oraz rzecz niezwykle ważna, wrażliwość i odporność psychiczną. Uważam, że jedynie w ten sposób można spowodować, iż inni zrozumieją nas i docenią. Jeśli autentycznie nie będę w zgodzie ze sobą, to mało jest prawdopodobne, bym był w zgodzie, w interpersonalnej harmonii z innymi. Nie jestem jednak aż tak zarozumiały, by nie liczyć się ze zdaniem innych. Uwzględniłem je bardziej, niż to okazuje. Zawsze liczę się z tym, że może „coś w tym jest”.

Spotkałem stwierdzenie, że dla kogoś kto chce zaistnieć w życiu, kto chce naprawdę być kimś (oczywiście nie w sensie prymitywnej kariery), dla tego całe życie będzie kryzysem. Ten kryzys — to dla mnie pewien stan niezadowolenia, wewnętrznego napięcia, pobudzający do autentycznego prospołecznego rozwoju. Prawdziwa zaś tragedia jest wtedy, gdy rezygnujemy z siebie, poddajemy się obłudnie szukając szlachetnych usprawiedliwień dla wygod, asekuracji, nastawienia na rozwój nie tego, co we mnie, lecz przy mnie (w kieszeni, mieszkaniu, garażu itp.).

Dwie wartości cenię najwyżej: miłość i pracę. Problem w tym, że wbrew (? — ten pytańnik jest autoironia) intencjom koleżeńskości jest chyba odwrotna. Pod tym względem jestem typowym mężczyzną. Realizuję się przede wszystkim w pracy, ale też jestem świadomy, że bez oparcia w uczuciach osób mi najbliższych nie byłoby to możliwe. Nie chcę bardziej zajmować się bliższymi profesjonalnie niż tymi, a raczej kosztem tych, których Kocham i którzy mnie Kochają.

Za źródło autorytetu moralnego nie tylko nauczyciela uważam kompetencje, konsekwencję, wytrwałość, życzliwość dla siebie oraz dla innych, optymizm, a także szeroko rozumianą aktywność. Musi się to opierać, moim zdaniem, na zaufaniu do siebie (samokrytycznym, bardzo samokrytycznym), przemyślanym oraz częściej niż okazjonalnie weryfikowanym systemie wartości (możliwie konkretnie określonym w odniesieniu do realiów) wraz z celami indywidualnej samorealizacji.

Przypuszczam, iż wiele osób myśli oraz postępuje podobnie. Bywa jednak i tak, że zaangażowanie w refleksyjność jest nie-

to możliwe? Jak e przyjąć kryteria? Na ile patrzeć na siebie oczyma innych?...

★

Nie chcę robić kariery w zawodzie, lecz rozwijać się w karierze zawodowej. Zależy mi na tym by sobą przekonywać, że można i warto żyć inaczej (mam tu na myśli swoich uczniów o bardzo skomplikowanych życiorysach). Sztuka polega na tym, by robić to w sposób przekonywający, a nie pokonujący (choćby pośrednio).

Ktoś znowu zapyta: „A co takiego uważasz w sobie za wartę przekazania innym. Co jesteś wart bez tej szkolnej, ceremonialno-profesorskiej otoczki?” Wymienię kilka wartości ale kolejność nie będzie oznaczała hierarchii. Chciałbym więc swoich uczniów (i nie tylko) przekonać do głębszej, możliwie wszechstronnej samorealizacji opartej na świadomej wewnętrznej dyscyplinie oraz nieustannej nauce. Dalej — co może wydać się dziwne — do czerpania zadowolenia z istniejących okoliczności życiowych (ale tego proszę nie utożsamiać z minimalizmem życiowym), o ile jesteśmy wobec nich bezsilni; do wstrzymywania się od kłamstwa; do dążenia bycia życzliwym i uczciwym wobec siebie oraz wobec innych; do opamiętania chęci przywłaszczania sobie cudzych dóbr (w tym również wymuszania uległości, kupowania życzliwości itp.). I jeszcze coś, równie oczywiste co nielatte w realizacji: zmuszenie się do powstrzymania od wszelkich myśli, pragnień, deklaracji i działań mających na celu sprawienie bólu w różnej postaci nie tylko ludziom.

Co osiągnąłem? Pewien poziom harmonii wewnętrznej, a ze strony wielu bliźnich poczucie zrozumienia i akceptacji. Ponadto głębsze poczucie sensu pracy.

Nauczyciel ma być profesjonalnym przewodnikiem w świecie wartości. A przecież — jak mało kto, właśnie z racji wykonywanego zawodu — musi on z tymi problemami uporać się w sobie, by móc potem stawić czoła problemom wynikającym z programu nauczania czy podejmowanym przez uczniów. Jak jednak przygotowywać innych do tworzenia wartościowej przyszłości i znoszenia teraźniejszości, skoro samemu jest się zagubionym i nie ma na tyle pociągających perspektyw (myślę nie tylko o wciąż nędznym prestiżu materialnym nauczycieli), by wzbudzić w uczniach (i w sobie) żal do realizacji?

Rolą nauczyciela jest twórcze wykorzystanie, rozbudzanie, a przynajmniej podtrzymywanie naturalnej chłonności wartości moralnych, intelektualnych, emocjonalnych, estetycznych czy innych. Jak długo uczyć się będą tabelkowo-sprawozdawcze „osiągnięcia” pracy szkoły — tak długo nie będzie autentycznego powszechnego wychowania. Jak długo szkoła nie będzie wzorem dobrej organizacji i źródłem (obok domu), skąd czerpane są cele oraz ideały, a także sposoby ich realizacji — tak długo niepowodzeniem zakończą się wszelkie reformy, nie tylko gospodarcze. Liczyć ma się człowiek i pozytywne zmiany w jego osobowości, jej rozwój a nie papiery, bo jak pisał Żeromski w „Przedwiośnie”: „To są tylko stosy papieru i nic więcej”.

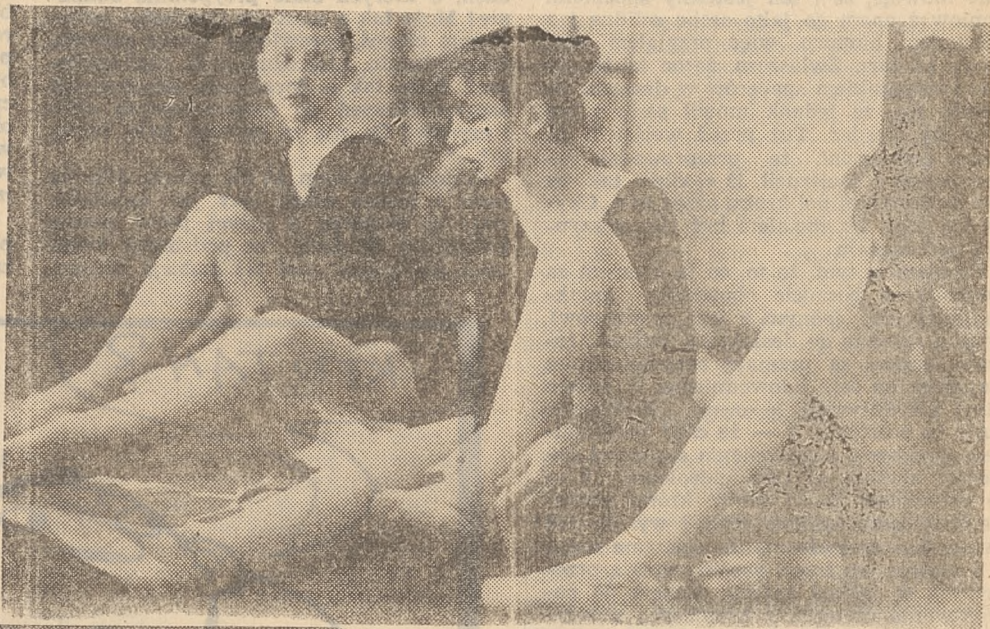
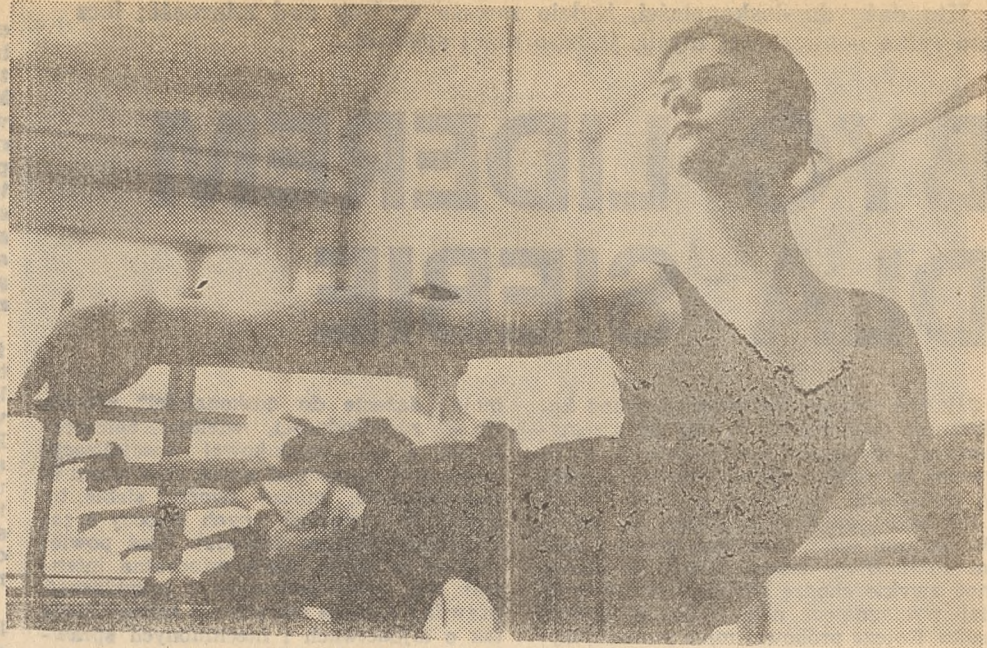
Jeszcze kilka zdań o odpowiedzialności. Truizmem jest, że ta cecha charakteru należy do najistotniejszych nie tylko w zawodzie nauczycielskim. Myślę tu jednak także, prócz odpowiedzialności przed innymi (jako ponoszenie konsekwencji za czyn lub słowa), o odpowiedzialności przed sobą. Poza tym wszelkie kontakty interpersonalne, niezależnie od naszego chęciostwa, są oddziaływaniem mogącym wywołać różne skutki, także niepożądane.

Czegóż więc się trzymać? Częściowo już o tym wspomniałem. Najważniejszym kryterium, moim zdaniem jest uczciwość w stosunku do tego co się mówi i robi, uczciwość wobec samego siebie, bardzo mocno powiązana z szeroko rozumianym doskonaleniem wewnętrznym. Należy zdawać sobie również sprawę, że ów rozwój i doskonalenie mogą spowodować, iż z czasem nie będziemy akceptowali tego, co mówiliśmy i robiliśmy wcześniej. Ale uczciwość wobec siebie, zarówno w przeszłości jak i teraźniejszości, nadaje minimum sensu naszym działaniom.

Jeden z moich nauczycieli akademickich wyraził tę postawę słowami: „Z tego kim teraz jestem, co mówię i robię, możesz wziąć co zechcesz. Jest to bowiem tym, co pozwala mi w sposób w miarę wartościowy funkcjonować”. Konieczna jest tu jeszcze uwaga dotycząca aktualizowania (kim teraz jestem), semi przecież podlegamy zmianom. Poza tym — z czego nie wszyscy, nie zawsze i nie w pełni zdajemy sobie sprawę — bardziej oddziałujemy tym, czym (ściślej — kim) jesteśmy niż tym, co z pewnych względów chcemy komuś wmówić. Stąd właśnie wynika konieczność nieustannego doskonalenia, wielopłaszczyznowego i wielopoziomowego, nadającego owemu „kim i czym teraz jestem” wymiar moralny. Sprawy on, że nasze słowa i czyny, jeżeli nie będą trafniejsze czy skuteczniejsze, to z pewnością będą bardziej ludzkie (w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa).

MAGDORN

Autorem tego tekstu jest nauczycielem o kilkuletnim stażu. Pracuje w szkole w specjalnym.



DROGA DO SŁAWY

Cwiczą dziewczęta z Państwowej Szkoły Baletowej im Romana Turczynowicza w Warszawie. Lekcję prowadzi pani Wera Szwecowa.



PARAGRAFEM ICH

W artykule „Paragrafem ich...” („Głos Nauczycielski” nr 44 z b.r.) redaktor Jerzy Kraśniewski podjął tematykę nauczania w klasach łączonych, wykorzystując skargi ze Szkoły Podstawowej w Niwiskach.

(...) Problem małej liczby uczniów w niektórych szkołach wiejskich, powodujący konieczność innej organizacji nauczania, występuje od dawna i jest ciągle aktualny. Nie da się wyeliminować łączenia klas w celu tworzenia kilkunastoosobowych zespołów uczniów w niektórych szkołach przez najbliższe dziesiątki lat. W województwie kaliskim, przy bardzo uporządkowanej sieci szkół podstawowych, na 448 szkół w 92 występują klasy łączone. Na ogólną liczbę 98 794 uczniów — 3 316 uczy się w tych klasach. Stanowi to 3,3 proc. ogółu uczniów i jest to wskaźnik mniejszy niż ogólnokrajowy. Chociaż jest to stosunkowo niewielka liczba uczniów, nie jest przez nas bagatelizowana. Uczy ich wielu bardzo doświadczonych nauczycieli, wkładających znaczny wysiłek zarówno w przygotowanie zajęć, jak i w ich prowadzenie.

Nie mogę przyjąć bez wątpliwości, podobnie jak koledzy w Kuratorium i wielu nauczycieli, zawartej w artykule tezy, że to właśnie uczniowie uczący się w klasach łączonych znacznie gorzej przygotowani są do dalszej nauki, niż ich rówieśnicy w zwykłych klasach, a szkoły z klasami łączonymi to szkoły gorsze niż inne. Nie potwierdzają tego jednoznacznie ani bieżące obserwacje, ani badania naukowe nad efektywnością procesu dydaktyczno-wychowawczego w tych klasach (por. Jerzy Nowacki „Organizacja procesu nauczania w klasach łączonych” — Wyd. Szk i Ped. W-wa 1985).

Dostrzegam w istocie, że w naszym województwie za mało dotąd uwagi poświęcałiśmy nauczycielom uczącym w klasach łączonych. Widzę możliwości i potrzebę zwiększenia zakresu doradztwa i pomocy pedagogicznej oraz rozwoju ruchu nowatorstwa pedagogicznego w tej grupie nauczycieli. Niektóre zadania zostały już ustalone.

Inna wątpliwość nasuwająca się po przeczytaniu artykułu dotyczy tego, czy wobec konieczności utrzymywania nauczania w klasach łączonych potrzebna jest wytoczona przez redaktora batalia o ich likwidację.

Myślę ponadto, że przykład Niwisk nie jest najlepszą tego podstawą, bowiem jest to przykład rzekomej ochrony dobra i praw dziecka, troski o niwelowanie różnic społecznych w kształceniu młodzieży oraz o nowoczesność oświaty. Autor artykułu zamieścił szerokie fragmenty listów i skarg z tej miejscowości, zrelacjonował przebieg rozmowy 3 osobowej delegacji ze mną. Treści te napełnione są emocjami, złośliwościami i są wytworem grupki osób z nauczycielką Grażyną Szczecińską na czele.

Dyrektor szkoły, ob. Longin Matyja, nie informował kierownictwa Kuratorium o rysującej się atmosferze w szkole i w środowisku wokół zamiaru zorganizowania nauki w jednym oddziale klas łączonych. Dyrektor nie wniósł także do Kuratorium żadnego odwołania od decyzji inspektora w tej sprawie.

Tym bardziej dziwi nas to, że właśnie dyrektor udzielił redaktorowi wywiadu o przebiegu rozmowy mojej z delegacją, chociaż w rozmowie nie uczestniczył. Powtórzył zaledwie subiektywne odczucia kol. Szczecińskiej.

Chcę w tym miejscu podkreślić, że nie czyniałam uwag pod adresem całej Rady Pedagogicznej w Niwiskach i nie ma też ten zespół nauczycieli podstaw do obrażania się na mnie. Nie mogłam jednak z pozbłażaniem odnieść się do opinii wyrażonej przez koleżankę Szczecińską, że manipulując promocją uczniów można uchronić się przed decyzjami władz w sprawie łączenia klas. Kiedy moja rozmówczyni zrozumiała niesłusność tej uwagi, łączącej się przecież z naruszeniem podstawowych zasad etyki zawodowej, rumieniłyśmy się wobec obecnych matek obydwie. Rozmowa nie mogła być przyjemna, skoro obnażone zostały prawdziwe motywy występowania koleżanki Szczecińskiej. Nie chodziło jej przecież o interes wszystkich uczniów. Dużo uwagi poświęciła trudnościom pracy w klasach łączonych, brakowi materiałów i pomocy metodycznej... no i własnemu dziecku, nie dopuszczając zbytnio do głosu towarzyszących jej osób.

Szkoda, że koleżanka Szczecińska nie wykorzystwała czasu, który przeznaczyła na walkę przeciwko oddziałowi z klasami łączonymi, na pogłębienie wiedzy z zakresu metodyki nauczania w tych klasach. Byłoby to bardziej potrzebne i pożyteczne. Zgadzam się, że publikacji na ten temat jest mało, ale to nieprawda, że ich nie ma wcale.

Pragnę zapewnić wszystkich zainteresowanych, że nie kieruję się w swoim działaniu wyłącznie paragrafami. Będę interesowała się wynikami pracy w tej szkole i będę starała się nieść jej pomoc.

Wyrażam żal, że sprawa łączenia klas w Niwiskach została przedstawiona w artykule tak jednostronnie.

KAZIMIERA LISSY
wicekurator oświaty i wychowania

★

Artykuł — „Paragrafem ich...” był na naszych łamach drugą publikacją poświęconą nie tyle nauczaniu w klasach łączonych, ile konfliktom środowiskowym, któ-

re rozwinęły się na tym tle (patrz M. Grochowska — „Zyski czy straty”, „Głos” nr 38 z 1988 r.).

Ani moje koleżanka, ani ja nie podjęliśmy batalii o likwidację nauczania w klasach łączonych, jak to w moim przypadku sugeruje Pani wicekurator. Jesteśmy realistami. Z wieloletnich prognoz demograficznych wynika, że w najbliższych latach rosnać będzie liczba dzieci w miastach, a maleć — na wsi. Klasy łączone będą więc konieczne ze względów ekonomicznych. Jeśli przygotowanie nauczycieli do tej pracy i wyposażenie szkół na wsi w pomoce dydaktyczne nie ulegną poprawie, łączenie nauczania będzie — podkreślam to raz jeszcze — złem koniecznym.

Autorka pisma do redakcji ma wątpliwości, czy uczniowie z klas łączonych mogą być gorzej przygotowani do dalszej nauki i powołuje się na bieżące obserwacje, badania naukowe oraz książkę Jerzego Nowackiego. Do jakich wniosków mogą prowadzić bieżące obserwacje, świadczy list doświadczonej nauczycielki, który publikujemy poniżej. Reprezentatywne badania nad efektywnością nauczania w klasach łączo-



JAK ŁĄCZYĆ ODDZIAŁY?

Uczę w szkole, która ma klasy łączone. Jakość pracy tych klas jest na tyle paląca, na ile nie przyjmowana do wiadomości przez władze oświatowe. Zainteresowaliśmy tym problemem doc. Jerzego Nowackiego, autora nieosiągalnej publikacji „Organizacja procesu nauczania w klasach łączonych”. Jest z nami, przyjeżdża, dyskutujemy o tym, jak robić najlepiej. Sprawa wymaga jednak głębszej analizy przez nauczycieli praktyków, przekonaniu o obowiązującym modelu organizacyjnego „systemu łączy” — a to już kompetencja resortu.

Klasy łączone stanowią problem dla dużej populacji dzieci wiejskich. Mają wpływ na ich prawo do równego startu oświatowego, którego aktualne warianty organizacyjne tych szkół nie zapewniają. Zdaję sobie sprawę, że względy ekonomiczne nie pozwalają na likwidację nauczania łączonego. Niektórzy twierdzą, że jest to wstydlivy problem naszego szkolnictwa. Wstydlivy nie jest, bowiem w systemach oświatowych wielu krajów jak Szwecja, Węgry, Czechosłowacja, ZSRR dokonuje się takich łączy.

Rzecz w tym, że nasz system jest wadliwy i nie ma rzetelnych podstaw naukowych. Obecnie funkcjonują w Polsce dwa typy szkół pracujących w systemie klas łączonych: I—II, III—IV, V—VI, VII—VIII oraz II—III, IV—V, VI—VII. Oba typy są wadliwie skonstruowane, a już dla pierwszego brak jakichkolwiek przesłanek. Jest on wręcz szkodliwy dla rozwoju dziecka.

Uczeń w klasie I znajduje się w szczególnie ważnym momencie rozwojowym. Stopień dojrzałości siedmiolatków jest różny. Tempo dalszego rozwoju jest także indywidualne. Często nierówności rozwojowe sięgają roku do dwóch lat. W świetle badań psychologiczno-pedagogicznych ustalono, iż około 20 proc. uczniów niektórych roczników ma różne zaburzenia. Nawet dokonanie wcześniej diagnozy tych deficytów i bieżąca korektywa wymagają dwóch, trzech lat pracy.

Jeżeli odnotujemy, że psychologią rozwojową, że dzieci we wczesnym okresie młodzieżowym mają kłopoty z koncentracją, z panowaniem nad uwagą i jej przetrzucnością, a jej mimowolność rejestruje wszystko, co dzieje się w obrębie klasy, że nużą się i szybko męczą, wymagają różnorodnego pobudzenia, że myślenie konkretno-obrazowe powoduje potrzebę demonstrowania i ilustrowania, a rozwój emocjonalny — gier i zabaw — to będzie sprawą oczywistą, iż obecny wariant łączenia kl. I i II jest pozbawiony racjonalnych podstaw. Nie ma takiego modelu lekcji w kl. I—II, który w przynajmniej 40 proc. pozwoliłby uwzględnić powyższe wymagania.

Dzieci uczące się tym systemem są „okaleczone” intelektualnie i emocjonalnie na całe życie. Nie usunięte zaburzenia rzutują na ich dalszą naukę, a nawet na całą drogę życiową, nie ma możliwości zapewnienia uczniom właściwego tempa rozwoju. Wobec dzieci normalnie rozwiniętych spełnia się tylko minimum powinności dydaktycznych, a nienadającym nie organizuje się prostowania istniejących opóźnień i zaburzeń, a wręcz wyzwala nowe. Pogłę-

nych nie są prowadzone. Wspomniana książka, praktycznie nieosiągalna na rynku, ukazała się w 1985 r. w nakładzie 5 tys. egzemplarzy. Autor powołuje się na badania przeprowadzone w latach siedemdziesiątych. A w załączonej bibliografii tylko jedna pozycja pochodzi z lat osiemdziesiątych (1982) i nie dotyczy klas łączonych.

J. Nowacki pisze wprost, że „...w ostatnim dziesięcioleciu w Polsce, poza artykułami zamieszczonymi na łamach czasopisma „Klasy Łączone” (zostało zlikwidowane — J. K.) oraz „Zbioreza Szkoła Gminna” (obecnie „Problemy Oświaty na Wsi”) problematyce nauczania i uczenia się w klasach łączonych nie poświęcono większej uwagi”. Od momentu ukazania się tej książki nie nastąpił na tym polu żaden postęp.

Mamy natomiast do czynienia z regresem w polityce kadrowej. W szkołach wiejskich miejsce emerytowanych doświadczonej nauczycielek zajęło około 100 tys. maturzystek liceów ogólnokształcących. Część z nich ukończyła kilkumiesięczne kursy pedagogiczne, dzięki czemu są określane przez statystykę jako personel z kwalifikacjami. Być może żadna z tych młodych nie uczy w klasach łączonych, ale niewątpliwie mają one wpływ na obniżenie poziomu pracy dydaktycznej i wychowawczej w placówkach wiejskich. I rodzice o tym wiedzą.

Jeśli zważyć, że w klasach łączonych kształcą się około 250 tys. uczniów w kilkunastu tysiącach oddziałów, to można odczuć niepokój o edukacyjny start do szkół ponadpodstawowych tej niemałej grupy. Można, ponieważ nauczycieli po studiach na wsi nie przybywa, a pomoc metodową też jest przedmiotem krytyki.

Rad jestem, że Pani wicekurator zauważyła, iż w Kaliskiem dotąd poświęcano mało uwagi nauczycielom uczącym w klasach łączonych. Dodam, że nie tylko tam. Autorom artykułów chodziło m.in. właśnie o to, by zwrócić uwagę władz oświatowych na tę lukę.

Niestety, z pisma do redakcji wynika, że Kuratorium w Kaliszu przeszło do porządku dziennego nad sprawą równie ważną. Zarówno w Zamojskiem, jak Kaliskiem stroną atakującą byli rodzice. Nie można wykluczyć, że liczba takich konfliktów może rosnać, jeśli władze oświatowe nie zmienią zasad postępowania z rodzicami uczniów. Skoro powiedziało się A i nawołuje do uspołecznienia szkoły tudzież partnerstwa z rodzicami, trzeba powiedzieć B i nie stawiać ludzi dorosłych przed faktami dokonanymi. Skoro klasy łączone muszą powstawać ze względów ekonomicznych, trzeba mówić to rodzicom z wyprzedzeniem. Należałoby też przedstawić kalkulację finansową i zastanowić się wspólnie, w obecności na przykład naczelnika, co można w tej sprawie zrobić. Nikt z tego powodu autorytetu nie straci.

Rozwój wydarzeń nie obciąża, jak się wydaje, wyłącznie Kuratorium, ale też nie przyczyniło się ono wraz z inspektorem oświaty do rozładowania konfliktu.

JERZY KRAŚNIEWSKI
Fot. M. Suchecki

biają się one w latach następnych, wypaczają rozwój dziecka. Przyczyną tego stanu są bariery organizacyjne i psychologiczne, których nie sposób przełamać w systemie łączy klasy I z II.

W świetle powyższych argumentów zgłaszam następujące propozycje. **Wariant I.** Nie łączyć klas pierwszych. Dla klas II/III opracować zintegrowany program różniący się dla obu klas tylko stopniem trudności i wymaganym zakresem. Dla klasy IV/V, VI/VII przewidzieć godziny rozłączone (po jednej) dla przedmiotów — fizyka, chemia, historia, biologia. Nie łączyć kl. VIII.

Wariant II. — Nie łączyć klas pierwszych. W klasach II/III rozłączyć język polski i matematykę. Pozostałe elementy jak w wariantcie I.

Ujednoczenie systemu łączy da możliwość pracy nad jednolitą nowoczesną metodyką nauczania, usunie sprzeczności między aspektami rozwojowymi dziecka a obecną praktyką organizacyjną, zaowocuje wynikami nauczania w klasach starszych i procentem absolwentów „systemu łączonego” dostających się do szkół średnich. Tak rozumiem stwarzanie warunków równego startu szkolnego.

TERESA SOKOŁOWSKA
Szkoła Podstawowa w Annoborze
(woj. lubelskie)

MĄDRA GŁOWA POD CHOINKĘ

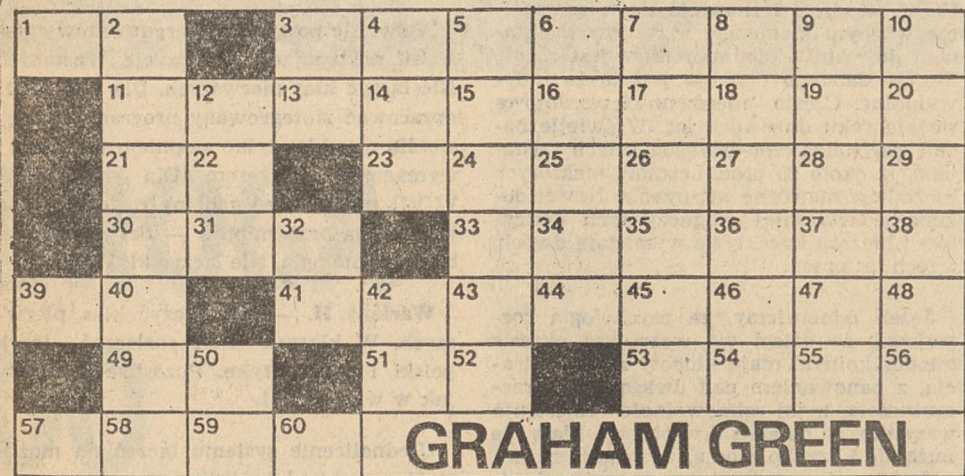
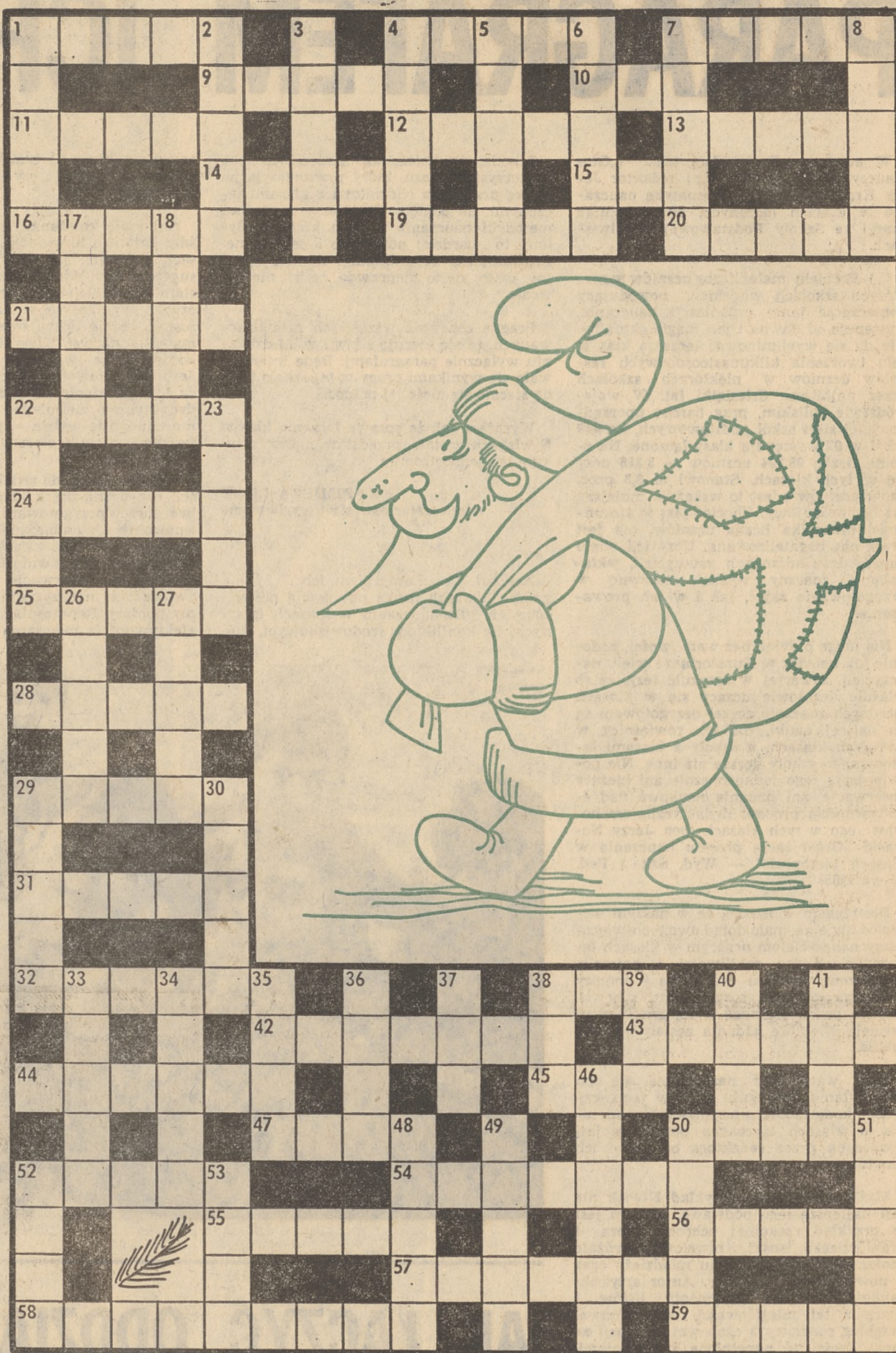
KRZYŻÓWKA Z MIKOŁAJEM

POZIOMO: 1) wieśniak, rataj, 4) to, co ma każda śruba i śrubka, 7) sprzęt, który używał Hemingway podczas połowów na morzu, 9) dawna broń kłująca, włócznia, 10) jeden z dopływów Wisły albo pospolity owad błonkoskrzydły, 11) niegdyś ziemia lub dochody nadawane przez seniora wasalowi, typowe dla średniowiecza, 12) urządzenie radiolokacyjne na statkach pełnomorskich, 13) miasto wojewódzkie znane nie tylko z produkcji maszyn do pisania oraz do szycia, 14) nakrycie głowy królów asyryjskich i perskich (także część stroju papieskiego), 15) stolica Baszkirskiej ASRR, stolica sportu żużlowego w ZSRR, 16) wieloczynnościowy samolot polskiej produkcji, także ptak naszych lasów, 19) ta część Warszawy, w której znajdują się wielkie zakłady samochodowe, 20) jedna z płóc samolotu przystosowanego do lądowania na śniegu, 21) wrzątek, 22) oczyszczone, grubo zmielone czasem całe ziarna zbożowe, 24) to, co lubimy często komuś przypiąć, 25) rolnik (zwłaszcza wiosną), 28) uboczny produkt suchej destylacji węgla kamiennego, drewna, itp., 29) ogon bobra w języku łowieckim, który może być również odgłosem deszczu, 31) to, co ma i karp, i nabób karabiny, 32) zimowe okrycie wierzchnie człowieka pracującego na wolnym powietrzu, 38) dawna jednostka wagi albo odrobina szczęścia jako konieczny warunek powodzenia, 42) płaska kość z przegrody nosowej (także najistotniejsza część pluga), 43) dawny dom zajezdny, karczma, 44) uroda, 45) miara powierzchni ziemi nie tylko na Dzikim Zachodzie, 47) jeden ze światowej sławy dramatów Ibsena, który mógłby być także i mieszkaniem lisa, 50) tkanina powleczonea tworzywem sztucznym, imituje skórę, 52) przysłowiowo niezbyt mądre zwierzę, 54) najwybitniejszy nasz malarz historyczny, 55) stolica polskiej piosenki, 56) granica, najwyższa liczba, pułap czegoś, 57) państwo w Ameryce Południowej, zamieszkałe głównie przez Indian, także Metysów oraz ludzi białych, znane z wydobycia rud cyny (3 miejsce na świecie), 58) zakład produkcyjny, w którym rodzi się „Głos Nauczycielski”, 59) pospolity pojazd jednośladowy.

PIONOWO) 1) pomieszczenie hodowlane dla ssaków parzystokopytnych, 2) po prostu figiel, 3) obozowanie pod gołym niebem, z reguły krótkotrwałe, 4) pomieszczenie na pojazdy mechaniczne, 5) ptak z koralami (sprowadzony do Europy dopiero w XVI stuleciu), 6) miasto uniwersyteckie, rozslawione nie tylko przez pierniki, 7) olbrzymia jaszczurka egzotycznego pochodzenia, w Azji zwana pospolicie „krokodylem pustyni”, 8) związek operacyjny wojsk o zmiennej ilości korpusów lub dywizji, 17) polskiej konstrukcji samolot odrzutowy używany głównie w celach szkoleniowych i treningowych, 18) dawna moneta różnej wielkości, dziś warta niezbyt wiele, 22) przeciwnik krzyżyka, 23) członek plemienia indiańskiego, którego reprezentantem był sławny Winnetou, 26) wiekowy mężczyzna, zwykle zniechęcony, o przytępionym umyśle, 27) buziak, 29) zdobycz wędkarza albo rybaka, 30) to, co może być i w oknie, i na spódnicy, 33) siostra Baladyny, 34) rosyjskie pismo emigracyjne, założone przez Lenina, potem mieńszewickie, 35) drzewo liściaste o owocach ze skrzydełkami, 36) drugi kalif muzułmański, który podbił Egipt, Persję oraz Syrię (od niego wzięto się jedno z najpopularniejszych męskich imion w świecie muzułmańskim), 37) największy z rodziny kotów, 38) bywa, że się w oku kręci, 39) pierwiastek, po którym ponoć pociąg jeździ, 40) piłkarz brazylijski, uznany za najlepszego zawodnika w historii piłki nożnej, 41) słodkość owocowa w słoiku, 46) dawne księstwo ze stolicą w Kruszwicy, 48) pierwotniak poruszający się za pomocą nibynózek, 49) kołnierzyk z pięknego futra, 50) jednostka monetarna nie tylko w Stanach Zjednoczonych, 51) roślina ogrodowa z rodziny złożeńych o dużych, różnokolorowych kwiatach bez zapachu, 52) mylne mniemanie, nieudane posunięcie, także niezgodność z obowiązującymi regulami, 53) łapa.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Głosu Nauczycielskiego”, ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa, w terminie do 14 dni, z dopiskiem na kopercie „Mądra Głowa pod choinkę”.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy 5 bonów PKO po 3000 zł oraz 10 nagród książkowych.



SZYFROGRAM LITERACKI

Najpierw prosimy odgadnąć dwanaście wyrazów w kluczu pomocniczym, a ich litery podstawić na miejsce liczb znajdujących się obok. Następnie odganięte litery należy przenieść do diagramu, wpisując je w pola wg zaznaczonej kolejności. Na koniec trzeba odczytać zaszyfrowany tam aforyzm Grahama Greena.

Klucz pomocniczy

6 - 37 - 8 - 39 - 10 - 24 - 11 - 19 - 21 = kronikarz, historyk,
28 - 4 - 17 - 51 - 38 - 16 = tytuł sztuki satyrycznej Majakowskiego,
32 - 57 - 22 - 45 - 49 - 55 = treść, istota albo masa tkankowa,

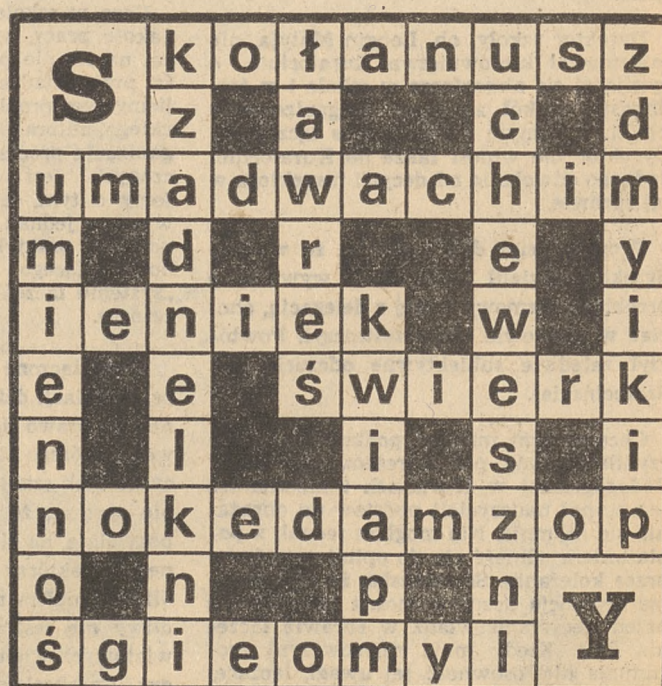
30 - 33 - 50 - 33 - 52 = instrument, który może być nosem słonia,
36 - 14 - 18 - 59 - 42 = jadalny owoc z jadalnymi pestkami,
3 - 20 - 15 - 58 - 34 = podkład pod politurę, także zaprawa z octu i korzeni,
47 - 1 - 46 - 56 - 60 = znany poemat Gałczyńskiego,
13 - 48 - 12 - 54 = japoński samolot myśliwski z czasów drugiej wojny światowej, również początkowy punkt na jakiejś skali,
23 - 29 - 44 - 41 = pieśń ku czci Apollina w poezji greckiej, utwór pochwalny,
26 - 25 - 5 - 27 = furmanka, także wielkie mnóstwo,
53 - 7 - 31 - 2 = karczma, do której trafił imię Twardowski,
43 - 9 - 40 = człowiek, który pierwszy oświadczył, iż „Polacy nie gęsi”.

LABIRYNT ZE ZŁOTĄ MYŚLĄ

Wśród liter widocznych w polach tego oto labiryntu ukryty został aforyzm Maurycego Mochnackiego (1803-34), uczestnika powstania styczniowego, najwybitniejszego teoretyka polskiego romantyzmu. Odczytanie jego złotej myśli należy rozpocząć od dużej litery „S” (u góry rysunku), natomiast zakończyć na dużej literze „Y” (tej u dołu). Oczywiście wędrować trzeba z pola do pola kolejno, bez przeskakowania. Dla ułatwienia ujawniamy, iż ów aforyzm Mochnackiego składa się zaledwie z trzech wyrazów.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych (Mądra Głowa nr 23) bony oszczędnościowe PKO po 1000 zł wylosowali: Włodzimierz Rejdak — Głowaczów, Irena



Harańczyk — Swidnica Śląska, Kazimierz Chrapkowski — Gdynia.

Natomiast nagrody książkowe z tego numeru wylosowali: Stanisław Szawracki — Łódź, Barbara Górńska — Siekluki, Gózd, Jerzy Wycisk — Jastrzębie Zdrój, Aleksandra Szponar — Obsza, woj. Zamość, Lucyna Małek — Józefów k. Biłgoraja.

PYTAJ - ODPOWIEMY

REDAGUJE TERESA KONARSKA

NAGRODA JUBILEUSZOWA DLA EMERYTA

Od dwóch lat jestem na emeryturze. Dowiedziałem się dopiero teraz, że w dniu przejścia na emeryturę miałem prawo do nagrody jubileuszowej. Obecnie pracuję już drugi rok na pół etatu, ale w innym zakładzie. Czy jest on zobowiązany wypłacić mi nagrodę jubileuszową, albowiem akurat rok temu, kiedy pracowałem już jako emeryt, minął okres jaki uprawnia mnie do nagrody jubileuszowej. (Lucjan K. — Bydgoszcz)

W myśl par. 10 uchwały nr 138 Rady Ministrów z 22 października 1978 roku w sprawie ustalania okresów pracy i innych okresów uprawniających do nagrody jubileuszowej oraz zasad jej obliczania i wypłacania (Monitor Polski nr 35) w razie rozwiązania stosunku pracy z powodu przejścia na emeryturę — pracownikowi, któremu do nabycia prawa do nagrody jubileuszowej brakuje mniej niż 12 miesięcy, licząc od dnia rozwiązania umowy o pracę, nagrodę tę wypłaca zakład pracy w dniu rozwiązania stosunku pracy.

Jeżeli jednak zakład pracy nie wypłacił pracownikowi tej nagrody, a pracownik podjął następne zatrudnienie i okres uprawniający do danej nagrody jubileuszowej upływa w obecnym zakładzie pracy, to pracownik ten — na podstawie par 8 ust. 1 wyżej wymienionej uchwały — nabywa prawo do nagrody w tym zakładzie pracy.

Jak więc z tego wynika nie ma podstaw prawnych do odmowy wypłaty nagrody jubileuszowej przez zakład pracy, w którym pracownik nabył prawo do

nagrody jubileuszowej (stosownie do par. 8 ust. 1 uchwały) — jeżeli nie otrzymał takiej nagrody od poprzedniego zakładu pracy, z którego odszedł na emeryturę, mimo że spełniał wymogi określone w par. 10 uchwały, o czym pisaliśmy na wstępie.

WYNAGRODZENIE ZA DODATKOWE CZYNNOŚCI DLA KIEROWCÓW ZATRUDNIONYCH W OŚWIACIE

Prosimy o informację kiedy, komu i na jakich warunkach można zlecić dodatkowe czynności. (Juliusz K. — kierowca z Krakowa)

Kierowcom i ich pomocnikom z wyjątkiem kierowców samochodów osobowych, w uzasadnionych przypadkach mogą być w czasie ich pracy powierzone czynności dodatkowe, nie wchodzące w zakres ich normalnych obowiązków. Dotyczy to w szczególności tych przypadków, kiedy powierzenie kierowcom dodatkowych czynności eliminuje potrzebę zatrudnienia innych osób. Czynności te mogą być powierzone kierowcom za ich zgodą po uprzednim przeszkoleniu oraz pod warunkiem zachowania bezpieczeństwa ruchu drogowego i bezpieczeństwa pracy. Za wykonywanie czynności dodatkowych kierowcom przysługują dodatki do wynagrodzenia określone w tabeli będącej załącznikiem numer 3 do zarządzenia nr 46 ministra edukacji narodowej z 25 sierpnia 1988 roku. Z tym, że łączna kwota dodatku za wykonywanie dodatkowych czynności nie może przekroczyć kwoty 7200 zł miesięcznie.

Powierzenie kierowcom wykonywania tych czynności powinno nastąpić w formie umowy o pracę określającej wszystkie powierzone czynności, z wyłączeniem ich rodzajów, zakresu oraz ustalającej wysokość dodatku za te czynności. Wypłacane są one dopiero po potwierdzeniu ich wykonania przez przełożnika lub usługobiorcę w dokumentach karty kierowcy i pojazdu.

Wysokość dodatków za wykonywanie czynności dodatkowych ustala dyrektor zakładu w granicach dziennych lub miesięcznych stawek w porozumieniu z odpowiednim organem związku zawodowego lub organem samorządu pracowniczego. Przy stosowaniu miesięcznej stawki dodatków, za każdy dzień nieusprawiedliwionej nieobecności w pracy oraz za każdy dzień usprawiedliwionej nieobecności (np. urlop bezpłatny) za którą nie przysługuje wynagrodzenie, dodatek miesięczny ulega zmniejszeniu o 1/22.5. Jeżeli nieobecność w pracy nie przekracza czterech godzin dziennie potrąca się 1/45 dodatku.

DODATKOWA UMOWA O PRACĘ W TYM SAMYM ZAKŁADZIE PRACY

Jestem pracownikiem przedszkola zakładowego zatrudnionym przez zakład pracy. Miałbym możliwość podjęcia dodatkowej pracy w tymże przedszkolu, ale dyrekcja nie wie czy mogą ze mną podpisać drugą umowę o pracę? (Jerzy K. — Warszawa)

Zgodnie z artykułem 101 Kodeksu Pracy pracownik zatrudniony w pełnym wymiarze czasu pracy może podjąć dodatkowe zatrudnienie za zgodą macierzystego zakładu pracy. Skoro więc pracownik może być zatrudniony w innym zakładzie (pracując w pełnym wymiarze w swojej macierzystej placówce) nie może być przeszkodą aby mógł on podjąć dodatkowe zatrudnienie w swoim zakładzie pracy. Jest jednak jedno zastrzeżenie: dodatkowa umowa o pracę w tym samym zakładzie nie może dotyczyć pracy tego samego rodzaju co praca określona w podstawowej umowie, a czas wykonywania dodatkowej pracy musi być tak ustalony, by nie kolidował z czasem pracy podstawowej.

TYGODNIK ZNP
ODZNACZONY



KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI



ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP



MEDALEM
KOMISJI EDUKACJI
NARODOWEJ



KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZNP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kier. działu związkowego), Magdalena Grochowska, Lidia Jastrzębska (II sekr. red.) Maria Kalińska (sekr. red.) Teresa Konarska (kier. działu listów i interwencji), Jerzy Krawczyński (kier. działu polityki oświatowej), Barbara Kozarska (red. techniczny), Bożena Niedziółka-Szczyńska, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk, (2-ca redaktora naczelnego) Witold Salański, Wojciech Sierakowski (kier. działu nauki i szkolnictwa wyższego), Henryka Witalewska (kier. działu kultury i wychowania), Zdzisław Nowak (kier. działu graficznego), Jan Rócki, Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska, Małgorzata Pośnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: centrala — 26-10-11 oraz 26-34-20, 27-66-30

WARUNKI PRENUMERATY:

Institucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną zamieszkałym na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy Wydawnictw ul. Towarowa 20, 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zlecających indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz na cały rok następny,

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1988 r.: kwartalnie — 650 zł półrocznie — 1300 zł, rocznie — 2600 zł

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12 tel. 28-24-11 wewn 195 i 221 Ceny ogłoszeń: drobne — 200 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niżki; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 200 zł kredyty; komunikaty 400 zł, pracownicy poszukiwani — 400 zł, nekrologi — 350 zł, reklamy — 350 zł za 1 cm kw

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: NBP: III O/M Warszawa 1036-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84-86.

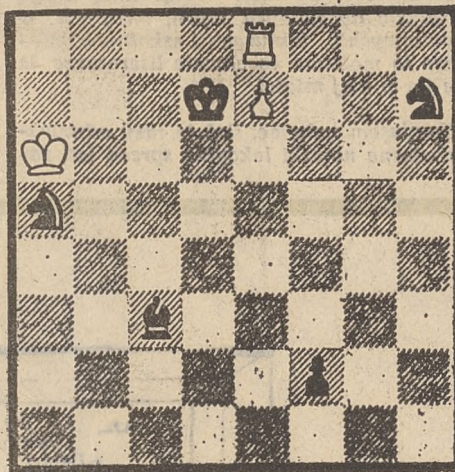
Nr indeksu 35 923
PI ISSN 0017 1263
Zam. 2581

U-17

SZACH KRÓLOWI

REDAGUJE
BOGDAN KUSIŃSKI

Zadanie nr 30 (6 pkt.)



Białe szachy mają 1 remisują.

Białe: Ka6, We8, e7

Czarne: Kd7, Sa5, Sh7, Gc3, f2

Rozwiązania zadań należy nadsyłać w terminie 15-dniowym pod adresem redakcji.

Rozwiązanie zadania nr 21

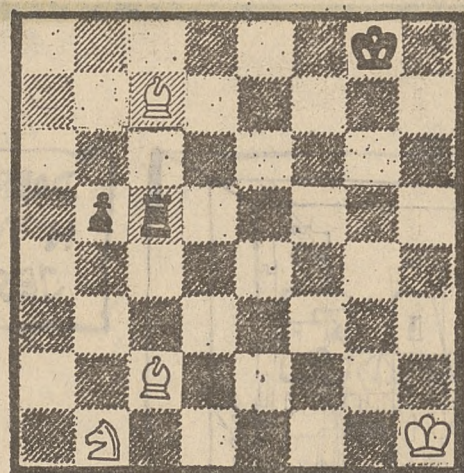
- Gd7 Wd8 (1. We3? Wc8: 1 Gc5!; 1. Wc3? Gb4 2. Wd3 Sc5, We3 WcB:!)
- Ge7 Wd6 (1. Gf5? Wf8, 2. Wc3; 1. ... g6, 2. Wc3 Gb4, 3. Wd3 Wd8!)
- Gf5 Wf6 (3. ... g6, 4. We 3 Wd3, 5. ed: Gc5, 6. d4 Gd4; 7. Gd3)
- Wc3 Gb4
- Wd3 Sc5
- We3 Wf5!
- f4+ Kg4!
- h3 x

Rozwiązanie zadania nr 22

- Gf6 cb2:
- Gb2: c3
- Gc3: f2
- d7 f1H
- d8H Hg2+
- Kb5 Hc2:
- Hc8+ Kg2
- Hc6+ Kf1
- Hh1+ Ke2
- Hg2+ Kd3
- Hf3 x

Publikujemy ostatnią serię zadań w ramach III Mistrzostw Polski Nauczycieli w rozwiązywaniu zadań szachowych.

Zadanie nr 29 (6 pkt.)



Białe szachy mają 1 wygrywają.

Białe: Kh1, Sb1, Gc2, Gc7

Czarne: Kg8, Wc5, b5

OGŁOSZENIA DROBNE

Małżeństwo — muzyk, średnio wykształcenie muzyczne z pięcioletnią praktyką (studia WSP — kierunek muzyczny) z żoną choreografem poszukują pracy z samodzielnym mieszkaniem w okolicy Warszawy. Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, Biuro Ogłoszeń dla nr 434

Nauczycielka nauczania początkowego po studiach pedagogicznych z czteroletnim stażem pracy, poszukuje pracy z samodzielnym mieszkaniem w okolicach Warszawy. Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, Biuro Ogłoszeń dla nr 433

Tarcze szkolne wykonują. Janusz Rugleń Toruń, ul. Osiedlowa 33.

433

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

w Pokoju, woj. opolskie

ZATRUDNI OD ZARAZ

małżeństwo nauczycielskie o specjalności: język polski oraz fizyka, chemia lub praca-technika — do pracy w szkole podstawowej w Ładzy.

Gwarantuje się mieszkanie rodzinne o standardzie M-4 w tej samej miejscowości. Warunki do uzgodnienia w siedzibie Inspektora Oświaty w Pokoju, ul. 1 Maja 15, 46-034 Pokój, tel. Pokój 107.

K-431

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

57-256 BARDO, woj. wałbrzyskie

ZATRUDNI

z dniem 1 lutego 1989 r. lub 1 września 1989 r.

małżeństwo nauczycielskie z wyższym wykształceniem magisterskim o specjalności:

- filologia polska
 - wychowanie fizyczne
- Zapewnia się mieszkanie rodzinne w miejscowości Brzeźnica.

K-432

PAŃSTWOWA SZKOŁA MUZYCZNA I STOPNIA

w Chojnicach

ZATRUDNI

z dniem 1 września 1989 roku

małżeństwo nauczycieli muzyki.

Instrumenty: fortepian, akordeon i rytmika z umuzykalnieniem. Oferty do 31 stycznia 1989 roku, należy składać w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia w Chojnicach, ul. 31 Stycznia 21/23, tel. 47-66. Członkom Spółdzielni Mieszkaniowej gwarantujemy mieszkanie spółdzielcze w 1989 roku.

K-430

POŁONISTYKA JAKO KUNSZT ŻYWY

Skorzystam z prawa felietonisty. Postaram się przedstawić najnowszą książkę Stanisława Bortnowskiego w sposób nie mający nic wspólnego z naukową krytyką, a jedynie na zasadzie refleksji czytelnika, który w dodatku lubi zapominać, że jest nauczycielem. Nie nawiążę tu więc do wysmienitego artykułu tego publicysty z październikowego numeru „Głosu”. Ograniczę się do przekazania jakiejś cząstki myśli autora „Sporu z polonistyką szkolną” (WSiP 1988).

Spór taki może zainteresować zarówno tych co uczą i co są kształceni, jak i tamtych, którzy, wyzwoleni od szkoły, sobie już tylko czytają a muzom. Zresztą dotykając polskich lektur różnego wymiaru i stylu, wszyscy jesteśmy po trochu polonistami. Najlepiej o tym świadczy fakt, że artykuły Bortnowskiego o nauczaniu literatury i języka wędrują po czasopiśmie ogólnego, a nie tylko zawodowego zasięgu. Podobnie i obecny „Spór z polonistyką szkolną” znajdzie wielu adresatów. Nie tylko nauczycieli języka ojczystego.

Moja uwaga nie odmieni oczywiście głównej treści tego zbioru szkiców i artykułów. Chodzi w nich przede wszystkim o szkołę i jej polonistykę. Autor rozprawia się tu zarówno z rutyną, jak i szkodliwą modą na „naukowość”. Nie ufa autorytetom i sądzi, że sam bywa omylny. Jest rewizjonista nie jedynie wobec dorobku dawnej, ale także i nowej polonistyki. Mimo to posłyszymy w jego książce szczerą pochwałę niektórych polonistycznych środowisk naukowych, rozwijających się w uczelniach Poznania, Warszawy, Opola, Zielonej Góry czy Krakowa. Spotykamy się z wyrazami głębokiego uznania autora dla uczonych z którymi toczy bój. I to także jest ciekawe: nie tylko zadziwiająca biegłość ale i kultura polemiki.

W końcowych rozdziałach „Sporu...”, noszących tytuły: „Jak pracować z poezją” i

„Dylematy polonisty metodyka”, książka zmienia się w atrakcyjny traktat o metodzie, który podpowiada mnóstwo pomysłów pracy lekcyjnej. Czegoż to Stanisław Bortnowski nie wypraktykował, sam czy ze swymi studentami i uczniami. Czego się od nich nie nauczył...

Porównywał na przykład na lekcji „wyrazy tajemne” wierszy Białoszewskiego do wyliczanek dzieci z podwórka („Raz, dwa, trzy, Afryka, mama bije Kazika...”) i wielu innych, skrzętnie pozbieranych). Patronował lekcjom studenta teatrologii, Adama Sroki, polegających m.in. na tym, że klasa przetwarzała metafory wieszca księdza Twardowskiego. Każdy uczeń był równouprawniony z poetą. Bortnowski słuchał, jak jego praktykant bada „sferę ciszy” w „Medalionach” Nalkowskiej, a na swoich zajęciach uzupełniał je „Testamentem” zbrodniarza Eichmanna.

Czytelnik przywykły do drzemki przy lekturze propozycji różnych rozbiórów literackich, tutaj nie może się nacieszyć przeżywaniem nowo odnalezionych czy nie znanych dotąd treści... znanych utworów. A treść taka o tyle tylko się liczy, o ile potrafimy ją przeżywać, „uwewnętrznić”, jak to nazywa autor.

„Kultura — to właśnie ja, to co sobą przedstawiam, co stworzę”. Taką zasadę proponuje twórca „Sporu” chyba każdemu z nas, kto pisze i czyta, także uczestnikom lekcji po tej czy tamtej stronie barykady. Pelen uznania również dla lekcji rutynowych, szuka Bortnowski odpowiedniego doboru treści do nich. Wciąż inną drogą dochodzi do nowych myśli, ukrytych w „Pocziwych” lekturach szkolnych? — Skoro to możliwe, to chwala literaturze, i to tyle się w niej mieści.

Nawiasem mówiąc, ileż to razy odrzucały własne notatki lekcyjne sprzed lat, za-

wstydzeni ich natężnością i piszemy wszystko od nowa. Dwa razy nie można wejść do tej samej powieści, choćby to była znana na pamięć „Lalka”.

Wracamy do Bortnowskiego, bo jego przypadek jest szczególny. Jako nauczyciela i nauczyciela nauczycieli charakteryzuje go wirtuozeria metodyczna. Tym ciekawsza, że sprawdzalna i budząca zaufanie, a przy rozsądnej skromności — godna naśladowania.

Byliśmy nie przeceniali własnych talentów i nie garnęli się do postępu pedagogicznego nawet za cenę śmieszności. Wtedy już lepiej po dawnemu zanudzać młodzież. Trudno. Nie każdy „weźmie po Bekwarku lutniej”.

Stanisław Bortnowski toczy w swojej książce prawdziwą batalię o prawo ucznia, nauczyciela i uczonego, nas wszystkich — do posługiwania się językiem własnym, wyrażającym grę wyobraźni, barwność, a gdy trzeba, to i dobitność myśli. Całe nasze duchowe „ja”. Tymczasem, jak słusznie głosi autor książki, możliwość wypowiedzenia się wprost, tak w szkole jak i poza nią, jest ograniczona. Nie wiadomo — nawykami jakimś czy modą na „naukowość”, nakazem zagłuszania indywidualnego sposobu wypowiedzi tym oficjalnym. Stefan Reczek przytacza w swojej książce „W rzecz polską wstąpić” słowa hydraulika, że w lazience „wystąpił perforaż ruraru”, czyli że jest tam dziura w rurze. Obyśmy nie musieli cytować zdań z naszych podręczników!

Przepisując ten felieton słyszę w radu głos profesora Władysława Lubasia, który udziela wywiadu w związku z otwarciem II Kongresu Języka Polskiego w Katowicach. Profesor mówi, że największą wadą obecnej polszczyzny jest zatrata jej cech osobowych, brak „osobistej kompozycji” tego, co się mówi.

Bortnowski zwraca uwagę na niebezpieczny dla całej kultury polskiej prerost gombrowiczowskiej „uczonej Gęby” nad nikłością treści, jaka zostanie po odcedzeniu z naukowych wypowiedzi zwróć i terminów specjalistycznych. Warto przypomnieć, że do prostoty i jasności słowa narodził uczonych Witold Doroszewski, sam dając jej godny naśladowania przykład. Humanistyka Witwickich, Kotarbińskich i Tatarkiewiczów dbała o kontakt z czytelnikiem, studentem lub uczniem. Władysław Tatarkiewicz pisał, że uważałby to sobie za ujmę, gdyby go ktoś nie rozumiał.

Tymczasem w „Sporze z polonistyką szkolną” spotykamy cytaty z publikowanych dziś tekstów naukowych, obszerne i bynajmniej nie wyrwane z kontekstu. Przyznajmy, że napawają one przerażeniem. Z

braku miejsca przytoczę tylko fragment wypowiedzi pewnego kulturologa. Pisze on tak: „Sienkiewicz potrafił przekształcić język naturalny użyty w narracji w specyficzny kod werbalny, zbudowany na opozycyjnej relacji między denotacjami, a konotacjami używanych pojęć, wykorzystując tę relację jako prymarną dla kodu. Refundacje semantyczne z poziomu języka naturalnego uzyskują status znaków kulturowych w płaszczyźnie systemu wtórnego”.

Mistrzowie takiego stylu ani o włos nie uступują: językoznawca, teatrolog, filmolog i... dydaktyk. Autor „Sporu” przeciwstawia tej językowej magii tekst podręcznika pediatrii, zrozumiały dla większości matek czy ojców. Tymczasem wykład o języku Sienkiewicza zrozumie może jakiś tysiąc magistrów i doktorów filologii polskiej w kraju — stwierdza Stanisław Bortnowski.

Lekcjom polskiego w szkole grozi ograniczenie tematów wiążących się z historią, moralnością czy sztuką życia, bo trzeba omawiać formę utworu. Następuje jakaś technizacja pracy nad dziełem literackim. Wcale to oczywiście nie oznacza, że wolno wracać do „polonistyki od pana Zagłoby”.

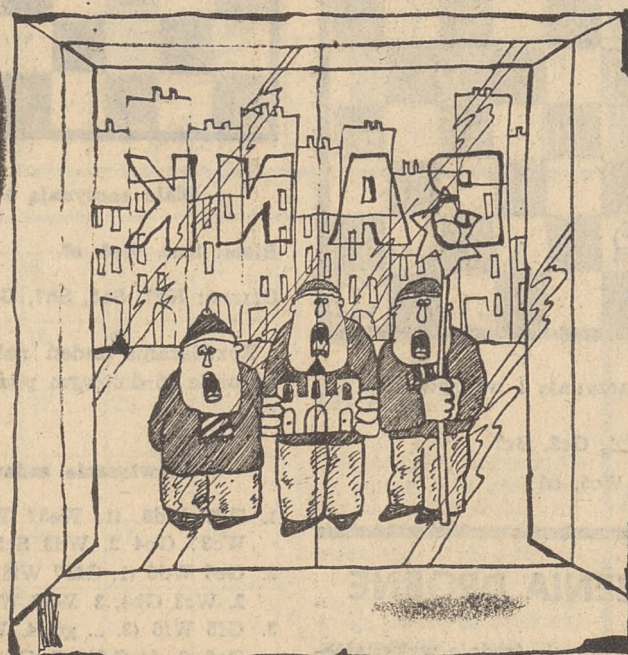
W książce Stanisława Bortnowskiego znajdziemy całe mnóstwo myśli i pytań natury dydaktycznej i metodycznej (metodologicznej również), a także wychodzących poza cztery szkolne ściany. Autor zastanawia się na przykład nad wychowawczą rolą literatury. Może ona przecież wywieść dobry i zły wpływ na naszą osobowość lub nie mieć go w ogóle. Rzetelna nauka, sądzi Bortnowski, powinna zawierać rozdziały pod tak niemiły tytułami, jak choćby te: „Literatura jako perwersja”, „Literatura jako lubieżność”, wreszcie „Literatura jako nurzenie się w zbrodni”. Ale czy obok tego literatura byłaby w stanie odrodzić człowieka?

Autor wypowiada tu szereg myśli, godnych podchwycenia i rozwinięcia. Jeśli literatura sama przez się nie jest siłą porządkującą moralnie świat, to każe jednak jakoś go wartościować. A przez to w rękę już swoje słowa do głosu ludzkich sumień. Bywa jednak upragnioną wartością kiedy człowiek sam decyduje, iż chce być trochę lepszy niż jest. Niezbędny staje się odpowiedni kontekst życiowy. Wtedy i jedna powieść, i jeden esej, i jedna skrzydlata myśl, z Norwida na przykład, wpływa na lata życia.

„O! TY, młodości mej stolicu:
Z bruku twego rad bym mieć kamień,
Na którym krew i łza nie świecą”.
Powtarzałem sobie ten fragment „Dedykacji”, idąc ulicami Warszawy w roku 1945. Przeżywałem te słowa do dzisiaj, jakbym je słyszał po raz pierwszy. Literatura jest różna, ale jej miejsca wybrane godne są miłości. A kochamy tylko prawdziwych wychowawców.



A COS
SPÓD
LADY...?



DOBRE WIADOMOŚCI KOLEŻANKO,
W TYM ROKU NIE BYŁO
JESZCZE TAK ŹLE...



W NAJBLIŻSZYCH
NUMERACH:

Spotkanie z Michnerem — autorem
książki o Polsce • Korespondencja z
Włoch • Z cyklu: Nad samą granicą —
szczęście za sto milionów

